

# MYSŁ NARODOWA

## DWUTYGODNIK POŚWIECONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VIII. Nr 2

WARSZAWA, 15 STYCZNIA 1928 R.

CENA NUMERU 1 zł.

### LUDZIE BEZ PRAWDY

NIEDAWNO dziennikowi „Głos Prawdy“ zdarzył się dość zabawny wypadek: w nr. 333 (grudzień r. ub.) zamieszczono równocześnie w dwóch różnych działach dwie oceny tej samej książki, mianowicie rozprawy Henryka Balka p. t. „Z badań nad wyobraźnią artystyczną Stanisława Wyspiańskiego“. Sprawozdanie na stronicie szóstej utrzymano od początku do końca w tonie bez zastrzeżeń przychylnym („Praca bardzo sumienna, dążąca do syntetycznego ujęcia“ i t. d.). Natomiast na stronicie czwartej fejtlista „Głosu Prawdy“ pogląd swój na wartość dzieła p. Balka sformułował w słowach następujących: „konia z rzędem... temu, kto ludziom normalnym wytłumaczy, poco właściwie drukujemy podobne brednie sumptem zakładu narodowego im. Ossolińskich. I jeszcze jedna kwestja, którą powinni się zająć czytelnicy romansów kryminalnych i prokurator: kto poszczuł młodego filologa na Wyspiańskiego, kto go do kradzieży z włamaniem namówił, kto mu ją ułatwił, kto mu wytrych w łapę wetknął i kto go pchnął do skarbca literatury?“.

Wydarzenie jest błahe, może stać się jednym więcej przyczynkiem do zbioru autentycznych anegdot na temat „chochlików drukarskich“, roztargnienia redaktorów, korektorów, zecerów. A jednakże ten drobny przypadek, skutek łatwo dającej się wytłumaczyć nieuwagi, na szpaltach „Głosu Prawdy“ urasta nieomal do znaczenia symbolu. W rzeczywistości bowiem stan podobny, tylko już nie wskutek przypadku, powtarza się mniej więcej stale, ile razy inteligent z obozu „sanacyjnego“ poprobuje zająć stanowisko wobec jakiegokolwiek zagadnienia o znaczeniu ogólniejszem. Stwierdza się zazwyczaj, że t. zw. „obóz pomajowy“ nie posiada poza kultem jednostki, żadnej ideologii, żadnego określonego programu. Rozpatrzywszy rzecz nieco bliżej, pogląd powyższy sformułować należy raczej w ten sposób, że normalny przedstawiciel obozu

„sanacyjnego“ jest równoczesnym wyznawcą całego szeregu ideologii, doktryn i haseł, które wzajemnie się wyłączają. Niech nikt nie przypuszcza, że publicystę lub polityka tego obozu wprawi w zakłopotanie, dopytując się, jakie są zasadnicze podstawy ideologiczne jego programu. Odpowiedzi na to pytanie nie zbraknie nigdy: demokracja wojskowa, Gandhyzm policyjny, neonacjonalizm antynarodowy, faszyzm liberalistyczny...

Rozliczne są przyczyny, które sprawiły, że ten właśnie typ umysłowości jest dziś u nas wśród inteligencji nie tylko możliwy, ale nawet rozpowszechniony. Pośród wielu czynników, co urabiały, a poniekąd do dziś jeszcze urabiają umysły według tego typu, bez wątpienia niemałe znaczenie przypisać trzeba szkole. Jakże bowiem, w ogromnej większości wypadków, przygotowywała swoich uczniów szkoła średnia, zwłaszcza w latach, bezpośrednio poprzedzających r. 1914, a więc w okresie, kiedy właśnie wychowywało się pokolenie, które dzisiaj wywiera największy wpływ na bieg spraw państwowych? Na jednej lekcji ksiądz katecheta objaśniał uczniom dogmaty o stworzeniu świata, na następnej nauczyciel przyrody zdobywał ich umysły dla materialistyczno-ewolucjonistycznych teoryj i hipotez. Nauczyciel historii, wychowanek i wyznawca „szkoły krakowskiej“, najsurowiej potępiał dawną Rzeczpospolitą, krytykował brak „silnej władzy“, głosił „trzeźwość“, „konieczność liczenia się z warunkami“. W godzinę później, polonista na lekcji literatury za szczyt myśli ludzkiej ogłaszał pisma mistyczne Słowackiego, wypowiadał płomienną pochwałę mesjanizmu. Jeśli wreszcie wziąć pod uwagę zabór rosyjski, nie bez wpływu był nawet „liberalizujący“, opozycyjnie wobec panującego systemu nastrojony nauczyciel języka rosyjskiego, krzewiciel entuzjazmu dla teoryj Bakunina i Tołstoja. O nadaniu całej nauce szkolnej jednolitego kierunku, przeniknięciu jej jedną ideą naczelną, nikt

prawie nie myślał, przytem w trudnych warunkach politycznych okresu przedwojennego program taki nie byłby w całości wykonalny. A zresztą, co najważniejsze, szkoła była jedynie odbiciem nurtujących w społeczeństwie sprzecznych prądów, i one właśnie, nie doprowadzane do syntezy, a niejako w opinii równouprawnione, musiały wkońcu wywołać wzrastający zamęt już nie tylko w zbiorowości, ale w umysłach jednostek.

Dla większości nieskłonnych do zastanawiania się nad zagadnieniami ogólnymi, nieprzyuczonych do samodzielnego myślenia, zamęt ten nie jest nawet źródłem zakłopotania: poprostu nie spostrzegają jego istnienia. Tak jak przed laty, zadanych lekcji w szkole „wykuwali się“ bezmyślnie, „na pamięć“, podobnie dzisiaj rozumują o sprawach publicznych przy pomocy gotowych, z różnych stron pozbieranych formułek, nie uczuwając potrzeby uzgodnienia zachodzących między nimi sprzeczności. Ci stanowią szeregowców „sanacji“, rzesze czytelników i wyznawców.

Są jednak inni, dla których szerzący się w społeczeństwie chaos ideowy zamienił się w praktyczną życiową szkołę cynizmu. Gdzie jest szereg „prawd“, wyłączających się nawzajem, a współistniejących, tam właściwie żadna prawda nie obowiązuje, a wtedy już pozostaje na placu jedyny czynnik realny: egoistyczny interes jednostki albo grupy. I jak dawniej sprytny sztubak rozumiał, że w inny sposób opowiedzieć powinien dzieje walki papieża z cesarstwem księdzu prefektowi, a inaczej wolnomyślnie usposobionemu nauczycielowi historii powszechnej, tak obecnie „zręcz-

ny“ polityk pojmuje doskonale, że inny program trzeba mieć dla pozyskania ziemiaństwa, inny dla fernali, a jeszcze inny, aby wzbudzić entuzjazm na zjeździe rabinów. Czyż nie tak właśnie musi przedstawiać się psychika radykała, objeżdżającego z referatami zamki hrabiowskie, aby czarować arystokrację? System cały wydaje się nader pomysłowy, wyniki—znakomite. Byle tylko nie być roztargnionym i delegacji Episkopatu katolickiego nie odpowiedzieć przez pomyłkę przemówieniem, przygotowanym na uroczystą inaugurację oddziału „polskiej Y. M. C. A“...

Ale przeciw temu światkowi ludzi bez wiary, bez prawdy, bez ideału, coraz wyraźniej zaczyna przejawiać się reakcja, budząca się wśród młodego pokolenia. Kto uważniej obserwował życie ideowe młodzieży akademickiej w ciągu ostatnich lat kilku, nie mógł pominąć faktu, że najbardziej aktualnym zagadnieniem, powodującym najwięcej rozważań, polemik, dyskusyj, było w tym czasie zagadnienie stosunku nacjonalizmu do religii. Jest rzeczą niewątpliwą, że w zjawisku tem wyraziło się, może niezawsze świadome, dążenie do uporządkowania stosunku jednostki do spraw najgłębszych, ażeby potem, posiadając syntezę naczelną, w zgodzie z nią szukać rozwiązania wszelkich kwestyj poszczególnych. Coraz powszechniej uczuwa się pragnienie posiadania prawdy, w którą się wierzy, niewzruszonej zasady postępowania. I ta psychika będzie, zdaje się, znamieną dla okresu, który nadchodzi.

JAN REMBIELIŃSKI

## KRYZYS W KOŚCIELE ANGIELSKIM

**R**OK 1927 uznano naogół za nieciekawą pod względem politycznym. Sprawozdawcy polityczni pism, „rzucający okiem wstecz“ na ubiegłych dwanaście miesięcy z okazji nadejścia roku nowego, wyrazili opinię taką dosyć zgodnie. Trzeba wszakże stwierdzić, że najciekawsze bodaj zdarzenie polityczne w roku zeszłym, przypadające na sam jego koniec, uszło niemal całkowicie ich uwagi. Pewna gazeta warszawska np. za fakt najdonioślejszy w tym okresie uznała odruch przeciwbolszewicki nacjonalistycznych Chin południowych. Nie pomniejszając bynajmniej wagi tego istotnie doniosłego zdarzenia, wolno mniemać, że faktem, więcej jeszcze pobudzającym do myślenia i o wiele jaskrawszy rzucającym snop światła na przyszłość Europy i świata, są objawy innego kryzysu, zachodzącego w łonie innej, bliższej nam cywilizacji: objawy kryzysu w kościele angielskim, kulminujące w przełomowym dniu 15 grudnia roku zeszłego, kiedy izba gmin przekreśliła projekt reformy kościoła, owoc długoletniej i nad wyraz mozolnej pracy anglikańskich czynników duchownych.

— Cóż! niewielkie sobie zdarzenie na partykularzu angielskim! — powie czytelnik, orjentujący się w skromnej roli, jaka przypada kościołowi angielskiemu wśród chrześcijańskich zrzeszeń religijnych świata. To też wypada uzasadnić, dlaczego przypisujemy kryzysowi w kościele angielskim znaczenie ogólne, a w szcze-

gólności — znaczenie polityczne. Lecz wpierw naszkicować trzeba obraz położenia.

Obrady nad reformą kościelną w parlamencie angielskim były szczególnie ciekawe przede wszystkim dlatego, że wybiły na historję okno, przez które wtargnęło szeroką falą powietrze dziejów. Parlamenty, rządy tworzą niby historję przez cały czas swego urzędowania czy swej pracy, ale w rzeczywistości „chwil historycznych“ jest stosunkowo niewiele, bo robota ciał ustawodawczych czy wykonawczych zazwyczaj nosi cechy łataniny, klecenia czegoś od wypadku do wypadku.

Rzadko które poczynania odrazu zarysowują się na tle rozleglejszej perspektywy historycznej i dają wprost wrażenie przekształcania dziejów.

Otóż wrażenie takie robiły propozycje kleru anglikańskiego, bo zmierzały ni mniej ni więcej, tylko do zmiany zasadniczej ustawy regulującej sprawę liturgji i obrządku, a pośrednio także niektóre dogmatyczne—ustawy o „*Prayer Book*“ (czyli o „*Mszale*“), którą kościół angielski stał od roku 1662, a więc mniej więcej od czasu, gdy wogóle ustalił się i zorganizował, jako kościół urzędowy i państwowy, najpierw małej Anglii, zaledwie wstępującej w okres ekspansji kolonialnej, a potem imperjum angielskiego, aż wzrosło do dzisiejszych rozmiarów.

Dziwna rzecz, że kościół ten nie budził większego zainteresowania w chrześcijaństwie, bo przedstawiał niezwykle zaiste widok kościoła, którego istnienie (przynajmniej w dotychczasowej postaci) zawisło od bezreligijności, a w każdym razie od mało żarliwego stosunku do spraw wiary. Inaczej zależność tego kościoła od państwa, zależność całkowita, zupełna, nie dałaby się chyba pomyśleć ani utrzymać. Obiektywnie określa tę zależność uczony amerykański Lowell, gdy powiada, że kościół angielski nosi kajdanki na rękach i nogach.

Wszystkie dogmaty, wszystkie prawa, obowiązujące w tym kościele, ustalone są, lub zatwierdzone przez państwo. „Ustawa o uległości duchowieństwa“ (*Act for the Submission of the Clergy*) z czasów Henryka VIII zatwierdziła moc obowiązującą kanonów, które anglikanizm przejął w spadku po Rzymie. Elżbietańska „Ustawa o zwierzchnictwie Korony“ (*Act of Supremacy*), ustanowiła Koronę głową Kościoła angielskiego. Wreszcie ustawy o jedności obrządku i artykułów wiary, przeprowadzone przez parlament w r. 1662 jako *the Acts of Uniformity*, a obejmujące *the Prayer Book* i *the Articles of Religion*, zamknęły w sobie liturgję i rytuał, które w aktach państwowych, ustawodawczych, zostały uwięzione, jak owady w bryłce bursztynu. Wszelką bowiem zmianę, a nawet wszelką zmianę inicjatywę wspomniana ustawa o uległości duchowieństwa uzależniła całkowicie od państwowego *placet*. Od czasów Henryka VIII do dzisiaj duchowieństwo zbierać się może na zgromadzeniach (*convocations*) i obradować nad sprawami kanonicznymi jedynie na znak dany przez koronę (w formie *King's Writ*, t. j. pisma królewskiego), co w praktyce od czasu ustalenia się w Anglii systemu rządów parlamentarnych, znaczy to samo, co znak, dany przez gabinet. Gabinet zwołuje, odracza i rozwiązuje zgromadzenia duchowieństwa. Lecz *King's Writ*, czyli hasło: „do roboty!“ — nie oznacza, że duchowieństwo może zabrać się do pracy nad temi sprawami, które samo uważa za najważniejsze. Gabinet i w tym względzie daje wskazówkę, której zignorować nie wolno: mianowicie, zwołując zgromadzenie, ogłasza równocześnie *Letters of Business*, które precyzują przedmiot, mający być tematem obrad duchowieństwa. Do powyższych listów załącza pozwolenie (*Licence* w formie *Letters Patent*) na proponowaną zmianę w prawie kościelnym, ale tymczasowe i warunkowe.

Do tego, żeby projekt mógł wejść w życie, potrzebne jest jeszcze drugie pozwolenie, analogiczne do pierwszego, pozwolenie na promulgację nowego (lub zmienionego) kanonu. W ten sposób gabinet aż do ostatka trzyma w ryzie czynniki kościelne, a zaznaczyć należy, że ze swojej władzy dyskrejonalnej korzysta naogół bardzo swobodnie.

Ale tylko zmiana kanonów, dotyczących praw i obowiązków osób duchownych, może być uskuteczniiona stosunkowo dość łatwo — bo na skutek prostej aprobaty gabinetu, udzielonej propozycjom czynników kościelnych. Wszystkie natomiast prawa kościelne, dotyczące zarówno duchownych, jak świeckich — wymagają zatwierdzenia przez najwyższy organ państwowy — przez parlament. Do takich praw fundamentalnych należą między innymi te, które ustaliły liturgję i wierzenia kościoła angielskiego — jak wspomniane wyżej *Articles of Religion Act* i *Prayer Book Act*. I właśnie, gdy miesiąc temu usiłowania przekształcenia *Prayer Book* rozbiły się o opór parlamentu, kryzys uwydatnił się nagle i gwałtownie.

Był nawet dłuższy, bo przeszło stutrzydziestoletni okres w dziejach kościoła angielskiego, kiedy zgroma-

dzenia kleru nie były wcale zwoływane. Aczkolwiek zredukowane właściwie do roli ciał opiniodawczych, zawiniły mimo to w r. 1717 zbyt samodzielnym wyrażeniem opinii, wskutek czego zostały zawieszony w funkcjach, i zebrać się ponownie mogły po raz pierwszy dopiero w połowie wieku dziewiętnastego! Przez ten czas wszelka działalność kościelna w zakresie własnego prawodawstwa, wszelka w tym zakresie inicjatywa, były całkowicie zahamowane. Że fakt ten nie wywołał większego wrażenia w opinii i nie zostawił po sobie trwalszych śladów w historii, wytłumaczyć można jedynie obojętnością na sprawy religijne, właściwą sceptycznej i pogańskiej cywilizacji, wyrobionej w owym czasie przez warstwy oświecone, głównie zaś arystokrację, sprawującą rządy w państwie i kościele.

Rządy w kościele angielskim sprawują nominaci ministerjalni: rozumie się to samo przez się, jako harmonijny szczegół w systemie zależności kościoła od państwa. Formalnie biskupów i arcybiskupów wybierają wprawdzie dziekani i kapituły, ale w rzeczywistości, otrzymując upoważnienie do dokonania wyboru, odbierają zarazem pismo gabinetu (*letters missive*), wymieniające kandydata, którego muszą wybrać pod groźbą kary. Wybrani w ten sposób dostojnicy kościoła angielskiego w minimalnym tylko zakresie posiadają jurysdykcję nad duchowieństwem, bo sprawy o przekroczenie dyscypliny kościelnej sędzić może biskup tylko za zgodą oskarżyciela i oskarżonego, w przeciwnym razie, czyli w większości wypadków, sędzi trybunał, zwany kościelnym, lecz w którym zasiada sędzia świecki, w ostatniej zaś instancji sprawa idzie pod rozstrzygnięcie Komitetu Sądowego Rady Tajnej (*Judicial Committee of the Privy Council*), na którego skład czynniki duchowne nie mają wogóle żadnego wpływu. Przytem — co jest rzeczą ważną dla zrozumienia sytuacji dzisiejszej w kościele angielskim — żadna sprawa o pogwałcenie dyscypliny kościelnej nie może być wytoczona duchownemu bez zezwolenia właściwego biskupa.

Jak widać z powyższego, cała struktura i cała bodaj instytucja kościoła angielskiego obliczona była na takie czasy i stosunki, kiedy uważano, że sprawy religijne nie mogą w gruncie rzeczy nikogo bliżej obchodzić. Ustrój ten zorganizował się w okresie reformacji, do której najsilniejszy zapewne impuls dały w Anglii i Szkocji bardzo doczesne i brutalne apetyty na dobra kościelne i klasztorne. Zrozumieć ówczesne nastroje możemy, gdy pomyślimy, że były to namiętności podobne do tych, jakie dziś rozpętuje sprawa reformy rolnej. Znamy zresztą i z naszych dziejów to wołanie o „egzekucję dóbr“... W atmosferze tej egzekucji zrodził się kościół angielski, a z początkiem ery protestanckiej w dziejach Anglii zaczęła się także era kapitalizmu. W społeczeństwie, ciesząc się największym w Europie dobrobytem, najdoskonalej rozwijającym praktyczny materializm, stan spraw kościelnych nikogo nie martwił zbyt. Zresztą kościół ten, będąc ograniczony w swoich kompetencjach ustawodawczych i administracyjnych, zarówno jak w swojej jurysdykcji, stracił — jak to zauważono — w niemałym stopniu charakter organizacji dyscyplinowanej, opartej na zasadzie hierarchii, a upodobnił się raczej do organizacji zawodowej. Ogromnie przyczyniła się do tego ta okoliczność, że beneficja uchodzą za własność prywatną duchownych, którzy z beneficjów korzystają dożywotnio. Po „egzekucji“ dóbr kościelnych prawo prezentacji (*advowson*) na beneficja duchowne przeszło w wielu wypadkach w ręce świeckie, tak że dziś na ogólną liczbę beneficjów, aż połowa przypada kandydatom,

zaprezentowanym przez osoby świeckie. Biskup może wprawdzie odmówić zgody na nominację takiego kandydata, ale tylko wtedy, jeśli uzna kandydata wogóle za niegodnego do objęcia jakiegokolwiek beneficjum. Zresztą ustawa o beneficjach (*Benefices Act*) z r. 1898 jeszcze ściślej określiła dopuszczalne powody odmowy, która poza tem wszystkim podlega zaskarżeniu przed sądy. To też odmowy w praktyce zdarzają się nadzwyczaj rzadko. Drugą połową beneficjów dysponuje częściowo państwo, częściowo uniwersytety, głównie jednak biskupi i kapituły katedralne. Gdy prawo prezentacji znajduje się w rękach świeckich, uchodzi za prawo prywatne, związane z własnością ziemską, stąd może przejść w ręce inowierców, żydów lub pogan, lecz nigdy w ręce rzymskich katolików. W tych warunkach nic dziwnego, że rozszerzył się handel beneficjami, które kandydaci zakupują zgóry u właściciela majątku, czekając na śmierć poprzednika i swoją kolejkę. Wprawdzie chrześcijaństwo już w średniowieczu potępiło simonję, ale mimo to operacje te nie są bezwzględnie zakazane przez prawo, i — do ostatnich przynajmniej czasów — notowano ich po kilkadziesiąt rocznie.

Duchowni na beneficjach (*incumbents*) utrzymują się przeważnie z pobieranych dziesięcin. System płacenia dziesięcin jest także pozostałością średniowiecznego ustroju kościelnego, która, choć zachowana, straciła w wielu wypadkach swój pierwotny charakter i może być rozumiana tylko, jako prywatne prawo własności. Dziesięciny nie idą dziś bowiem wyłącznie na uposażenie duchownych anglikańskich, lecz w sporej (jednej czwartej) części stanowią także prawo majątkowe osób oraz instytucji świeckich. Cały system dziesięcin należy właściwie do prawa prywatnego, a nie do prawa kościelnego.

Wyróżniony przez państwo, kościół angielski dosyć nikły ma wpływ na społeczeństwo. Tylko w Anglii właściwej cieszy się przewagą wpływów nad radykalniejszymi sektami protestanckimi, do których znów należy rząd dusz w Walji, Szkocji i północnej Irlandji. Ale i w Anglii na trzydzieści pięć milionów mieszkańców przypadają niespełna trzy miliony praktykujących wyznawców kościoła narodowego. Większość obywateli Zjednoczonego Królestwa wyzbyła się już wogóle żywszych uczuć i zainteresowań religijnych, wszystkie klasy bowiem przyswoiły sobie ducha cywilizacji materialistycznej.

Zjawiskiem nieprzewidzianem, które podważyło tradycyjny ustrój kościoła angielskiego, okazał się ruch ku odrodzeniu religijnemu właśnie wśród warstw oświeconych. Kościół angielski w kwestjach dogmatów i liturgji zajął stanowisko niejako pośrednie pomiędzy protestantyzmem radykalnym, a katolicyzmem rzymskim, od którego się był oderwał. Zrazu dążenia do reformy zmierzały raczej ku dalszej protestantyzacji, przede wszystkim ku usunięciu szat kościelnych, świec na ołtarzu, obrazów i figur kościelnych i t. d. Ale niebawem zwróciły się w kierunku wręcz przeciwnym i postępując, sprawiły, że część duchowieństwa oddaliła się w zakresie liturgji od przepisów starej ustawy o Mszale (*Prayer Book*) z 1662, a zbliżyła nieco do starego wzoru katolickiego. Część duchowieństwa, dodajmy, bezspornie najzarliwsza wiarą i najbardziej w życiu prywatnym wzorowa. Spór zaostriżył się niepomierne przez to, że wspomniany odłam kleru (t. zw. *High Church*, albo *Anglo-Catholics*), uznając Tajemnicę Przeistoczenia, zaczął praktykować przechowywanie Sakramentu Ołtarza i zachęcać do oddawania czci publicznej, co już wogóle niezgodne było zarówno

z duchem, jak z doktryną protestantyzmu i uwydatniało różnicę poglądów zasadniczą, bo w kwestji dogmatycznej. Istnieje jednak zapatrywanie, że w powyższej kwestji różnica zdań istniała od początku w kościele anglikańskim, który, będąc w założeniu swoim oparty na kompromisie, stara się w obrębie jednego rytuału zespolić przedstawicieli rozbieżnych całkowicie poglądów dogmatycznych. Znany pisarz i historyk angielski, Belloc, porównywa kościół angielski do paryskiej Sorbony.

Wytworzyła się zatem różnica praktyk i wierzeń, wobec której sądy duchowne okazały się zupełnie bezsilne, poróżnili się bowiem w poglądach nietylko duchowni niższych stopni, lecz i biskupi, od których zezwolenia zależy wszczęcie postępowania karnego przed sądem kościelnym. Powołana została zato Komisja Królewska do spraw dyscypliny kościelnej (*Royal Commission on Ecclesiastical Discipline*), która w roku 1906 przedłożyła parlamentowi swój raport, zlecając załatwienie kwestji na drodze ustawodawczej, przez wprowadzenie odpowiednich zmian do Mszale (*Prayer Book*) z r. 1662. Czynniki kościelne, odpowiednio upoważnione przez rząd, zebrały się do pracy nad zmodernizowaniem *Prayer Book*, pracy najeżonej trudnościami wskutek konieczności poszukiwania formuł kompromisowych. Lecz po dwudziestu latach kompromis stanął, i zgromadzenie kościelne przedłożyło parlamentowi projekt nowego Mszale do zatwierdzenia. Wypada dodać, że sam parlament odebrał sobie w r. 1919 (przez t. zw. *Enabling Act*) prawo wyprowadzania poprawek do projektów prawa kościelnego, ograniczając swoją kompetencję li tylko do ryczałtowej aprobacji lub negacji.

Zamierzona reforma „*Prayer Book*“, jako dotycząca także praw i obowiązków osób świeckich, wymagała sankcji ciał ustawodawczych — jakże mało ukwalifikowanych do podejmowania rozstrzygnięć w tej materji! Absurd bił w oczy. Izby ze znakomitą większością członków zupełnie obojętne na sprawy religijne, wytrenowane w myśleniu kategorjami najczęściej klasowymi i gospodarczymi, — posiadając zresztą także fanatyków radykalnego protestantyzmu, pochodzących z okręgów walijskich, szkockich lub północno-irlandzkich, a poza tem również żydów lub komunistów — miały przesądzić sprawę w stylu średniowiecznym, sprawę liturgji i wierzeń zrzeszenia religijnego — Kościoła Anglii. Lecz zdawało się z początku zwolennikom reformy, że puszczenie tej sprawy na flukty debat parlamentarnych nie przedstawia niebezpieczeństwa, bo z rozmów przedwstępnych wynikało, że większość jest za reformą. Projekt przeszedł gładko przez izbę lordów, uchwalony ogromną większością głosów. W obu izbach dyscyplina partyjna przy głosowaniu nie obowiązywała, podzieliły się w dyskusji także głosy ministrów.

Debaty w izbie gmin otworzyło przemówienie ministra marynarki, admirała Bridgemana, który nawoływał do przyjęcia projektu, odżegnywając się jednak od wszelkich sympatyj dla średniowiecza i Kościoła rzymskiego, wywodząc natomiast, że tylko przyjęcie uchroni kościół angielski przed rozpanoszeniem się beznadziejnego chaosu. Mówca przejęty był ważnością sprawy, lecz nie miał dnia szczęśliwego. W pewnym miejscu, wyraziwszy się niezręcznie, dotknął różnowierców angielskich, — i przemówienie, które miało utorać drogę reformie religijnej, utknęło, zasypane gradem okrzyków: „odwołać, odwołać“. Ten moment psychologiczny wyzyskany został przez ministra spraw wewnętrznych, Joynson-Hicksa, który przemawiał z ko-

lei, jako naczelny mówca opozycji. Sam przekonany protestant, potrafił zagrać na instynktach protestanckich, malując zgrozę liturgii rzymskiej i potworność nawrotu ku poglądom średniowiecznym. W sposób niezbity wykazał, że projektowana reforma dotyczy nie tylko obrządku, lecz i dogmatów. Namiętna ta oracja porwała szereg niezdecydowanych, co dotąd przechylali się sympatjami ku zwolennikom reformy. Niebawem umocniła ich w nastroju opozycyjnym płomienna i gwałtowna, niczem kaznodziejstwo dawnych szermierzy protestantyzmu, mowa pośła Mitchela z partji pracy, który zaklinał do wytrwania na stanowisku bezkompromisowo-protestanckim, ukazując jedną tylko alternatywę: Rzym, albo reformacja. „Jeśli Kościół angielski chce do Rzymu — to niech go Bóg prowadzi, ale jeśli nie chce — to niewolno zatwierdzać nowego Mszału, bo ten w jedno pokolenie przerobi całą Anglię z protestanckiej na rzymsko-katolicką... Niech Kościół angielski będzie czem chce, ale nigdy nie ostoi się, rozdzielony sam przeciw sobie. Nie wierzę, aby na stałe mógł pozostać pół-reformowanym, pół-rzymskim. Albo jedno, albo drugie. Niech Kościół sam wybiera, a nie przerzuca tego obowiązku na parlament. Jeśli to czyni, to ja, mocny, przekonany, zdecydowany protestant mogę głosować tylko przeciw ustawie. Nie chciałbym — lecz muszę — tak mi dopomóż Bóg!“. Po przemówieniu kobiety, posłanki Iveagh, wystąpił z logicznym przemówieniem Sir John Simon, liberał, opowiadając się przeciw projektowi.

Efektu tych przemówień nie odrobili Lord H. Cecil i Sir M. Conway, którzy cały wysiłek włożyli w dowodzenie, że w kościele anglikańskim jest miejsce dla różnych poglądów.

Od całości debat odróżniło się przemówienie premiera Baldwina, który wzywał do uchwalenia projektu, wychodząc nietylko z przesłanek religijnych, ile dobra narodowego. W razie odrzucenia projektu kościołowi angielskiemu grozi rozbitcie. „Ostatecznie zamiast jednego ogarniającego szeroką sferę zrzeszenia powstałoby zrzeszeń parę. Zapytuję siebie: czy to wyszłoby na dobre życiu religijnemu naszego narodu? i zmuszony jestem odpowiedzieć: „Nie!“ Na zasadnicze pytanie: jak głosować, aby się przysłużyć sprawie religijnego życia narodu? — sumienie moje każe mi odpowiedzieć decyzyjną: głosować za projektem!“

W rezultacie projekt został odrzucony większością 35 głosów, i kościół angielski stanął wobec sytu-

acji, z której jedynym wyjściem pewnym byłoby uniezależnienie się od państwa, czyli wyrzeczenie się stanowiska kościoła oficjalnego. Właśnie premier Baldwin położył na tę możliwość szczególny nacisk we wspomnianem przemówieniu, przewidując ją, jako nieuchronne następstwo odrzucenia projektu przez parlament.

Narazie jednak biskupi angielscy obrali taktykę ostrożną (jak przystało na nominatów ministerjalnych), żądając ponownego rozpatrzenia projektu przez ciała ustawodawcze.

Samo głosowanie z dnia 15 grudnia nie posiada oczywiście wagi politycznej, Lecz że kościół angielski wydobył się z dawnej bierności i apatii, że przeżywa fazę głębokich zainteresowań religijnych, że te sprawy poraz pierwszy od stuleci wysuwają się na czoło spraw bieżących w obradach parlamentu, że wreszcie uwydatnia się ostry konflikt, i projekt kościoła przepada w debatach parlamentu — to wszystko są elementy sytuacji nowej i znamiona, których dawniej nie brano pod uwagę przy ocenie życia, siły, charakteru, znaczenia politycznego społeczeństw anglosaskich. Społeczeństwa — bo cały szereg analogicznych objawów kryzysu religijnego i ścierania się prądów zauważyć można także w Ameryce Północnej.

Gdy te *imponderabilia* weźmiemy pod należytą rozwagę, zgoła inny przedstawi się nam obraz położenia, niż ten, który wypada, gdy uwzględnimy jedynie pozycje, dające się umieścić w rachunku arytmetycznym. Czy, np. oceniając znaczenie polityczne Ameryki, mamy zwyczaj uwzględniać także i *imponderabilia*, czy raczej zwykliśmy patrzeć na przyszłość, mając jedynie na uwadze „kolosalny kontynent“, „niewyczerpane bogactwa naturalne“, „powszechny wzrost zamożności“, „olbrzymi rozwój automobilizmu“ i t. d. Lecz *imponderabilia* z natury swojej działają, jako siły nieuchwytnie, i rzadko kiedy w zdarzeniu konkretnym można wyraźnie dostrzec ślady tego działania i zorientować się w napięciu sił, które w grę wchodzi.

Objawy kryzysu w kościele angielskim, wpływając przejściowo na powierzchnię życia politycznego, oznajmniają o doniosłych procesach, zachodzących w głębi.

WITOLD JERZY CHWALEWIK

## ZAKŁAD NARODOWY IM. OSSOLIŃSKICH

(Dokończenie)

**Z**ODRODZENIEM Polski przestał istnieć przywilej Instytutu drukowania i sprzedaży książek szkolnych i skutkiem tego usunęła się najsilniejsza podwalina jego egzystencji, utrwalającej się lub utrwalonej od dłuższego czasu. Aby zapobiec wszelkiej możliwej z tego powodu klęsce, za inicjatywą kuratora dyrekcja Zakładu podjęła dawniej już kilkakrotnie stosowaną próbę wydawnictw, która niestety zawodziła. Dopiero usiłowaniu ostatnim, którym kuratorja i Dyrekcja poświęciły wiele starań i trudu, powiodło się, przy czynnym poparciu pierwszorzędnych przedstawicieli nauki i literatury, a przy życzliwym współprawnictwie organów administracyjnych, stworzyć na wielką skalę pomyślane wydawnictwo o zakresie

nie wykluczającym wprowadzie wskazań Ossolińskiego, ale daleko poza granice ich idącym, uprawia bowiem nietylko gałąź historyczną i bibliograficzną, ale schodzi na możliwe szerokie pole piśmiennictwa naukowego i literackiego.

Dzięki okolicznościom przedstawionym Zakład przyczynił się znacznie do wielostronnego wzmocnienia życia kultury duchowej i materialnej, dał bowiem sposobność autorom do spełnienia swych aspiracji i urzeczywistnienia pomysłów, skutkiem czego przysporzył literaturze narodowej wiele pozycji, niemożliwych do wykonania jednostce czy przedsiębiorcom, nie rozporządzającym środkami należytemi, ożywił dalej zamierzający coraz bardziej w Polsce ruch książki przez podniesienie

handlu księgarskiego, zakładając swoje własne oficyny we Lwowie, Krakowie i Warszawie, lub przynajmniej swoje składy główne po innych większych miastach polskich; podniósł nakoniec znacznie sztukę drukarską i drukarski przemysł, gdy bowiem skutkiem zwiększenia się przedsięwzięć wydawniczych typografia dotychczasowa okazała się niewystarczająca, trzeba było warsztat jej rozszerzyć tak dalece, że obecnie skupia ona w sobie trzy drukarnie, należy do największych w swoim rodzaju przedsiębiorstw i we Lwowie i w Polsce, i daje rękojmię, że zwiększy się w niedalekiej przyszłości o nowe a bezwarunkowo niezbędne oddziały sztuki drukarskiej i graficznej, tak, że książka, z Zakładu i pod firmą Zakładu w świat wychodząca, w całości i najdrobniejszych szczegółach jego produktem będzie.

Usiłowaniem sfer rządzących Instytutu ostatnich czasów, dobiegających zaledwie ćwierćwiecza a pod względem prawdziwie doniosłych rezultatów ograniczających się prawie w zupełności do lat po ustaniu wielkiej wojny, udało się dokonać rzeczy wielkiej, o której Ossoliński tylko marzył kiedyś i ustalenia życia i bytu Zakładu Narodowego — ustalenia bytu tych, co poświęcają mu swą pracę, tj. urzędników i rozmaitego rodzaju pomocników, którzy od lat kilkunastu zdobywszy prawo do pobierania emerytury, obecnie mają utrzymanie zgoła odmienne, niż ongiś, i skarżyć się już nie potrzebują, iż pod względem stanowiska materialnego idą po funkcjonariuszach wszelkich innych kategorii.

Tak zwyciężyła zasada samowystarczalności Zakładu, którą tylko w teorii mógł kiedyś wyznawać jego twórca, ale bezwzględna i zupełna jeszcze do dnia dzisiejszego się nie stała, wobec dwóch faktów: wielkiej (może się to wydać paradoksem) życzliwości społeczeństwa, przedewszystkiem własnego, a także — i to nie wyjątkowo — obcego, tudzież świadomości wysokiego przeznaczenia i szczytnej służby dla dobra duchowej kultury nie tylko polskiej, ale także przy dzisiejszej niezależności politycznej Rzeczypospolitej — można powiedzieć bez przesady — światowej.

W czasach jeszcze, w których biblioteka Ossolińskiego znajdowała się w Wiedniu, rozgłos, jaki miały kolekcje bibliofila polskiego, zwracał na nie uwagę szczególnie polskich studentów, bawiących tam na studjach uniwersyteckich czy innych, którzy zasilali je rozmaitemi książkami. Od tej chwili rozpoczęte obdarowywanie księżnicy zwiększać się zaczyna ze sprowadzeniem jej do Lwowa (1827 r.), — odtąd źródło ofiarności, otwarte szczęśliwą ręką pierwszych darczyńców, wzbiera coraz bardziej, tak, że z biegiem czasu przemienia się w głęboki i szeroki strumień i hojnością swoją zalewa dosłownie Instytut zarówno w dziale bibliotecznym, jak muzealnym. Dzięki przedewszystkiem hojności niezrównanej i pamięci najżyczliwszej ogółu Biblioteka Ossolińskich poza najwcześniejszemi a ważniejszymi darowaniami zbiorami czyto im. xx. Lubomirskich czy Eugenjusza Brodzkiego, wzbogaciła się na podziw i rozrosła olbrzymio, wchłaniając w siebie biblioteki: Skrzyńskich, hr. Stadnickiego, Straszewskiej z Florencji, królewski dar Jana Nargielewicza z Lttwy, Romana x. Sanguszki, Zdzisława i Stefana xx. Lubomirskich, Stefani Czaykowskiej, Eleonory x. Lubomirskiej, hr. Badenich i wreszcie, by nie wyliczać innych drobniejszych, imponujące ilością i jakością zbiory Pawlikowskich, znane szacownie pod nazwą medyc-

kich. Należy nakoniec wspomnieć z podkreśleniem specjalnem, że społeczeństwo polskie, rozumiejąc posłannictwo kulturalne takich dzieł, jak Ossolińskiego, i jakby spełniając jego życzenie, wyrażone w „Ustawieniu familijnem“ z r. 1816 a powtórzone w „Akcie dodatkowym“ z r. 1824: „iż każdemu wolno... przedmioty naukowe, jakieby mu się podobało, w składzie Biblioteki... umieszczać, i tu z wdzięcznością przyjmowane oraz, z zapewnieniem czyniącym ojczyźnie i naukom ofiary całej chwały, wiernie dochowane będą...“, z całą ufnością bądź w darze, bądź pod formą depozytów wieczystych oddało pod opiekę Ossolineum swoje zbiory, szczególnie zaś archiwa i bogate zawartością i ważną treścią, jak z czasów przedwojennych prym między nimi dzierzące archiwum xx. Sapiechów z Krasiczyna i obok niego idące archiwa: Drohojowskich, Grabowskich, Hohendorffów, Lubomirskich, Mniszców, Ossolińskich, Stadnickich, Wasilewskich, Wybranowskich, — z doby powojennej zaś: Chrzanowskich, Jabłonowskich, Włodzimierza Kozłowskiego, Luba-Radzimińskich, Skarbków i t. d.

Ilustracją wzrostu niech będą cyfry, które najwymowniej w takich razach przemawiają. Oto w r. 1827, w którym zbiory Ossolińskiego przewieziono do Lwowa, fundacja w całości liczyła: dzieł drukowanych 10.121 w 19,055 tomach, rękopisów 552, map 133 i rycin 1.445, — w r. zaś 1927, t. j. w sto lat później, liczy (wraz ze zbiorami Pawlikowskich): dzieł drukowanych 193.560 w około 500.000 tomów, rękopisów skatalogowanych 5.928, nieskatalogowanych ponad 2.500, map 3,001, rycin 53,475, czyli — nie mówiąc o działach przed wiekiem nie istniejących — w zakresie ilości dzieł drukowanych zwiększyła się ponad 19 razy, w zakresie tomów ponad 25 razy, w zakresie rękopisów, wśród których wzrost z natury rzeczy musi być powolniejszy, ponad 15 razy, a w zakresie rycin 37 razy.

Zjawisko podobne daje się zauważyć co do Muzeum xx. Lubomirskich, które według współczesnego zestawienia, dokonanego przez ks. Franciszka Siarczyńskiego, miało w r. 1828 około 8,500 numerów przedmiotów archeologicznych i pamiątkowych, dzieł sztuki malarskiej i rzeźbiarskiej, rycin, monet i medalów, rzeczy przyrodniczych i in., obecnie zaś doszło do liczby 57.354 czyli zwiększyło się siedmiokrotnie.

Drugim, obok zaznaczonego dopiero co faktu, jest działalność Instytutu, spełniającego kulturalne posłannictwo wobec społeczeństwa. W epoce absolutyzmu austriackiego, który sposobami bardziej wyrafinowanymi, niż barbarzyństwo rosyjskie w Królestwie i — co więcej — znacznie od niego dłużej, gniótł życie polskie w b. Galicji, Ossolineum było przybytkiem, w którym Polak zaboru austriackiego, walczący o prawa moralne z niemieckością, znajdował siły świeże, — spełniało zadanie wychowawcy patriotycznego i oświeciciela szerokich warstw, utrzymując dla nich doskonale zaopatrzone czytelnie lub myśląc o wprowadzeniu w życie takiej instytucji, jaką później stały się Towarzystwa oświaty ludowej; — świadczyło wreszcie na innych polach wiele dobrego, które sprawiedliwie i należycie osądzą dzieje kultury społecznej i umysłowej nie samej tylko b. Galicji; — w czasach nowszych natomiast, konstytucyjnych, i najnowszych — za odrodzonej już Polski, rola Ossolineum z konieczności uległa pewnej zmianie. Wiele zadań z rąk jego — rzecz naturalna — przejść musiało w ręce inne, ale należy zaznaczyć, że

o ile w pewnym względzie zostały one ograniczone, o tyle w innym rozszerzyły się nadmiernie. Stało się to mianowicie w dziedzinie, w której działalność Ossolineum objawiała się i objawia najistotniej, t. j. jako Zakładu, powołanego do życia celem dostarczenia środków i pomocy wszystkim, którzy szukają ich u niego dla pracy duchowej. Jeśli dzisiaj już niewątpliwie jest, że w przeszłości cały dorobek w obrębie naukowej i literackiej twórczości Galicji miał początek i ognisko skupiające w siedzibie fundacji im. Ossolińskich, to do pewnej przynajmniej granicy sprawiedliwość nakazuje odnieść to także do całej Polski, która tutaj przez wybitnych przedstawicieli swojej umysłowości znajdowała miejsce wymarzone do pracy i środków niewyczerpane bogactwo do jej wykonania, mianowicie w zakresie literatury, historii politycznej i oświecenia narodowego, — o czym pouczają dokładnie coroczne „Sprawozdania z czynności Zakładu Narodowego im. Ossolińskich“.

Ograniczając się tylko do ruchu, będącego miarą służenia przez Ossolineum społeczeństwu, w t. zw. pracowni naukowej, która istnieje od r. 1870/71, a przeznaczona jest dla czytelników uczonych i literatów, wogóle zaś dla badaczy poważnych, dochodzi się do wyniku, że gdy w pierwszym roku istnienia w lokalu tym wydano do użytku 955 osób: 43 rękopisów i 1.600 dzieł drukowanych, to w 56 lat później, t. j. w r. 1926, pracujących było 15.780, dla których wydano 2.073 rękopisów, 28.646 dzieł drukowanych, czyli liczba pracowników zwiększyła się ponad 16 razy, rękopisów ponad 48 razy, dzieł zaś ponad 17 razy!

Wobec omówionych dwóch faktów: z jednej strony nadzwyczajnego wzrostu zbiorów bibliotecznych i muzealnych, głównie za sprawą ofiarności publicznej, z drugiej zwiększenia się frekwencji osób poważnie pracujących, która jest niewątpliwym wykładnikiem wmożeniu się dążeń duchowo-kulturalnych i niezwykłego wzniesienia się poziomu umysłowego, zasada samowystarczalności została ze względu na przyszłość a bezwzględnie konieczne rozszerzenie Instytutu — zachwiana. Jeśli Kuratorja literacka, właściwa i bezpośrednia kierowniczka i opiekunka Zakładu Naukowego świadoma swego stanowiska, po długich staraniach i usiłowaniach zdołała w sposób pewny uładzić jego stosunki materialne i na pewnej postawić je podwalinie, to dzisiaj widzi przed sobą nowe a również ważne zadania, domagające się gwałtownie załatwienia. Już z chwilą sprowadzenia do Lwowa zbiorów Ossolińskiego a później Lubomirskich wielu z tych, co mieli ostatecznie do skutku doprowadzić zamysły rozległe fundatora, wydawało się nieraz, że budowlę pokarmelińskiego klasztoru i kościoła nie na długo wystarczą, aby być siedliskiem dla bezcennych skarbów i miejscem stosownym do pracy dla publiczności. Obecnie stało się rzeczą niewątpliwą, że Zakład stoi przed katastrofą braku miejsca, które nie tylko zaczyna być, ale jest już tak samo tragiczne, jak niegdyś tragiczną była niezgodność między wielkimi celami fundacji a małymi jej środkami materialnymi. Ossoliński Zakład, jako instytucja narodowa, której siedzibą Lwów, była i jest nietylko jedną o placówek najwyższej, bo duchowej kultury, ale także twierdzą polskości na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej, z tego powodu też nie wolno mu zapominać o podwójnej, jaką ma zawsze spełniać, roli. Do jednej z nich, moralnej i społecznej, tytuł dały mu długich lat praca i dodatnie jej wyniki, nakuszając widzieć zawsze w fun-

dacji Ossolińskiego czynnik wielkiej wagi i powagi, trzymający niejako ręce na kulturalnych poczynaniach, do których w chwili obecnej należałoby zjednoczenie wszystkich polskich towarzystw naukowych i literackich we Lwowie i Wschodniej Małopolsce pod jednym dachem, tem bardziej, że nie znalazłoby się chyba żadne między niemi, któreby nie chciało stać pod orędownictwem wiekowej instytucji. Spełnienie roli drugiej ciąży na Ossolineum jako na skarbcu duchowych zasobów Polski i ludzkości i jako na składnicy pamiątek narodowych. Jak wszystkie księgozbiory i muzea publiczne są jedynymi w swoim rodzaju przybytkami nauk i sztuk w pojęciu narodów, które je mają, takim samym przybytkiem było i być nim nie przestało do dzisiaj Ossolineum i w coraz wyższym stopniu stawać się nim powinno w przyszłości dla Polski. Zapominać nie wolno, że teren jego zaczyna być obecnie miejscem zbornem nie tylko, jak dawniej, głównie Polaków zaboru austriackiego, ale Polaków wszystkich, intelektualnie pracujących, — że zaczyna niem być dla wszystkich obcych, oddających się badaniu kultury, literatury i historii polskiej, i to w liczbie znacznie większej, niż w okresie niewoli politycznej, — że nakoniec do wszystkich, szukających światła w jego muzeach, musi w sposób, wolę i wyobraźnię podbijający, przemawiać wielkość, wspaniałość i powaga wiekowa Zakładu Narodowego. Aby oba powyższe zadania spełnić, aby mianowicie odpowiedzieć swemu istotnemu i właściwemu przeznaczeniu, Ossolineum musi otrzymać pomieszczenie, godne wielkiej idei i myśli, które przedstawia, — musi starać się o rozszerzenie przestrzenne, o czym myślał już w roku 1835 poważnie, choć bezskutecznie, Henryk x. Lubomirski, musi dążyć do tego, aby jako biblioteka i muzeum zdobyło tyle sił zasobnych, izby o wroście swoim mogło myśleć bez zastrzeżeń i stać się w całym tego słowa znaczeniu bogatym zbiorem rzeczy polskich, — tych, które świadczą o wielkości polskiego władztwa ducha i wyobraźni, — które wskazują naocześnie zasobność i możność zarazem jego wzrostu i trwałości.

Kuratorja Ossolineum, nie zapominając ani na chwilę o swoim stanowisku, jego celach i zadaniach, a przede wszystkim o obowiązku pamiętania o takiej przyszłości Instytutu, jaką przedstawiono, uprzytomnia sobie również katastrofę, grożącą mu w przyszłości najbliższej z powodu braku miejsca. W czasach najnowszych, po ciężkich doświadczeniach a długich staraniach, zdołano utrwalić byt Zakładu, opierającego na pewnych i — może Opatrzność pozwoli — niewzruszonych podstawach materialnych, lecz również uświadomiono sobie, że tragicznego braku miejsca zabiegami samodzielnymi nie zdoła się uchylić, nie rozporządzając odpowiedniami ku temu środkami. To też po stu latach od ucieleśnienia się zamiaru gorącej miłości i nieograniczonego poświęcenia się dla Ojczyzny wielkodusznego fundatora, — po stu latach chlubnej wobec społeczeństwa służby Zakładu, wolno mu chyba żywić nadzieję, że cały Naród i Rząd Najjaśniejszej Rzeczypospolitej otoczą go względami zasłużonymi i pomocą, — nadzieją, która spełnić się musi niewątpliwie, gdy ci, którym powierzono opiekę nad jego bytem i życiem, nie zejną nigdy z drogi najzarliwszego patriotyzmu, wskazanej przez Ossolińskiego, obywatelu o zdumiewającej ofiarności a wielkim sercu Polaka.

## ZGASZENIE KRAJOBRAZU

**W**ARTYKULE p. t. „Zubożenie duszy“ (ob. nr. 23 z r. ub.), idąc za poglądami T. Lippsa, zaznaczyłem, że wczuwaniu się estetycznemu stanąć mogą na przeszkodzie „wyobrażenia sprzeczne“. Przedewszystkiem jednak idzie mi o to, czy wyobrażenia intelektualne mogą na odczuwanie estetyczne działać pomocnie, czy słowem, idee w doznaniu estetycznym mieć mogą rolę pozytywną? Sądzę, że tak, i tu oddalam się od autora „Psychologii piękna i sztuki“.<sup>1)</sup>

„Uczuwszy woń róży, zapominam na chwilę, jakby w odurzeniu, żądz i smutków ludzkiej mojej natury, a powracam niby w te czasy, w których celem dla ducha mego było utworzenie piękności, a odetchnięcie wonią było mu jedyną ulgą w pracy i rozkoszą, a tak, o Panie, powracam niby na chwilę w dzieciństwo moje i przychodzi mi niby z otchłani genezyjskich wiatr orzeźwienia i młodości — a napróżno mi, o Panie, nauka tłumaczyła ten fenomen przez działanie woni na zmysł powonienia; jam pytał o działanie zmysłu na duszę moją, która w uczuciu woni rozwesela się lub smętnieje“.

W doznaniu tem spostrzegamy następujące momenty—weźmy naprzód pod uwagę zdanie I: A) mom. czuciowy, woń róży, wrażenie o zabarwieniu przyjemnem, sprawiające pewne odurzenie; na tem mógłby ktoś poprzestać; ale tu zjawia się moment B) uczuciowo-wyobrażeniowy, który składa się z podmomentów: a) odurzenie wywołuje nastrój wielkiego odłączenia się od wszystkiego, co aktualne, nastrój jakby jakiegoś wielkiego oddalenia się od życia bieżącego: „zapominam“ żądz i smutków ludzkiej mojej... natury; tu przychodzi do głosu owa Lippsowska „jaźń idealna“, mamy do czynienia z wczuwaniem się estetycznym, ściśle w jego znaczeniu; ale poeta na tem się nie zatrzymuje; b) on to oddalenie się subiektywne umieszcza w ka-

<sup>1)</sup> Idzie mi o to mianowicie, czy w doznaniu estetycznym grać może rolę, i to pozytywną, przekonanie o rzeczywistości obiektywnej życia odczuwanego w przedmiotach estetycznego oglądu. Lipps sprzeciwia się temu stanowczo; wyobrażenia sprzeczne — (np. radości, którą wczuwam w jakiegoś człowieka, na prawdę w nim niema) — niszczą wczuwanie się. Ale to przez to tylko, że się wogóle stawia kwestję rzeczywistości; doznaniu estetycznemu kwestja ta wogóle jest całkiem obcą, jeśli się jawi, to po to tylko, aby je rozproszyć: blok marmuru, przedstawiający kształty ludzkie, przez to, że życie, które w nim odczuwamy nie jest rzeczywistym, bynajmniej nie jest mniej albo więcej pięknym; „estetyczną idealność“ oznacza nie to, że życie przedmiotu, jest lub nie jest rzeczywiste, ale to tylko, że przy oglądaniu estetycznym kwestja rzeczywistości pozostaje w sferze całkiem odrębnej. Przedmiot estetyczny ulega „estetycznej izolacji“, to znaczy jest „absolutnie oddzielony od wszystkiego, co poza tem posiada lub posiadać może dla mnie idealną egzystencję“, więc od świata „myśli, fantazji, marzeń, reminiscencyj kielkujących i t. d.“. — Nie czuję się przekonany wywodami Lippsa w tym względzie; wynikałoby bowiem z nich, że „sympatja estetyczna“ niema nic wspólnego z „sympatją praktyczną“ (L. rozróżnia między „wczuwaniem estetycznym“ a „praktycznym“) — tymczasem jest faktem notorycznym, że ta ostatnia wysoce ułatwia i podnosi natężenie pierwszej, dorównanego wczuwania się w życie przedmiotu: nietylko człowiek ukochany jest prześwietlony wyrazem jedynym i pięknym, ale i przedmiot ulubiony ulega „przezwłoczeniu“, (o którym Lipps tyle mówi), w stopniu znacznie wyższym, niż przedmiot obojętny. Jeśliby zresztą logiczna analiza tego faktu pozostawiła doznania owe nadal w sferze estetycznej izolacji — to nie mniej faktem pozostanie, że ten взгляд w pewnym znaczeniu „interesowny“, jakim jest sympatja praktyczna, uła t w i a sympatję estetyczną, a to za pośrednictwem większego skupienia uwagi. I to jest dla mnie tutaj z praktycznego punktu widzenia ważne. Nadmieniam wreszcie, że gdy idzie mi o przekonanie o rzeczywistości obiektywnej życia psychicznego, wczuwanego w przyrodę (nb. żywą przedewszystkiem), to<sup>10)</sup> idzie mi nie o przekonanie abstrakcyjne, czysto intelektualne, ale o poczucie rzeczywistości, <sup>20)</sup> odróżniam sprawę działania psychologicznego swego poczucia od metafizycznej kwestji, czy poczucie to jest uprawnione, czy wyraża prawdę.

tegorji czasu: on powraca niby w jakieś pradawne czasy — i tu koniec tego podmomentu, który nazywam semiintelektualnym; wcale niema konieczności aby to niejasne wyobrażenie ruchu w czasie, ku jakiejś dalekiej przeszłości, interpretowane było w taki sposób; c) „czasy w których celem dla ducha mego było“ etc.; to już zostało „dorobione“ do przeżycia estetycznego, jest czemś w stosunku do niego zewnętrznem; to jest moment intelektualny.

Ale przypatrzmy się zdaniu drugiemu:

Mamy tu schemat B,a (powracam niby na chwilę) + B,b (przychodzi mi niby z otchłani genezyjskiej) + B,a,A (wiatr orzeźwienia i młodości) + B,c (a napróżno mi nauka itd.). Środkowa część tego schematu (B,b+B,a,A= „przychodzi mi niby z otchłani genezyjskich wiatr orzeźwienia i młodości“, jest kulminacyjnym punktem ekspresyjnym całego ustępu, tu w sposób bardzo zwarty występują wszystkie momenty doznania: jeśli orzeźwienie i młodość są wyrazami dobrobytu fizycznego, to „wiatr orzeźwienia“ jest wyobrażeniem nawskroś estetycznym, jest wczuwaniem w swój stan danego dobrobytu fizycznego siły sprawiającej go, działania, ruchu; a równocześnie wiatr ten wyobrażony jest jako dążący z nieskończonej oddali, która to „nieskończoność“ jest podłożem i odrazu wyrazem nastroju szczególnego, który niewątpliwie jest wybitnym czynnikiem piękna doznania — a z drugiej strony „nieskończoność“ ta jest przejściem bezpośrednim do interpretacji ideowej; być może, a nawet napewno, gdyby nie ta interpretacja ideowa, to wyrażenia o otchłaniach (genezyjskich), nie byłoby tutaj: moment estetyczny *sensu stricto*, za pośrednictwem momentu semiintelektualnego, otrzymał od momentu intelektualnego swoją formę, która wpłynęła nań natężająco.

I wogóle, stwierdzić trzeba, iż składniki intelektualne przeżyć (estetycznych, etycznych, religijnych itp.) grają rolę odczynnika w roztworze przesyconym, naczynia, udzielającego kształty pewnej ilości cieczy — słowem rolę ustalającą, utrwalającą rozlewny materiał uczuciowo-nastrojowy. I dlatego jeśli skrajny intelektualizm w sprawach życia duchowego, czy to w znaczeniu negatywnem czy pozytywnem, oznacza zawsze niedowidztwo duszoznawcze — to skrajny antyintelektualizm jest rysem jakiegoś braku charakteru.

Ale pytanie następne, dla nas tu bardzo ważne: czy takie przebiegi estetyczne, jak powyżej zanalizowany, są odwracalne, to znaczy, czy pod wpływem interpretacji ideowej danej z zewnątrz i z góry (od opinii intelektualnej lub od własnych rozmyślań), doznanie estetyczne ulec może wzmożeniu?

I tu odpowiem twierdząco: wobec tego ideom w życiu estetycznym przypadnie też rola komunikatywna, ewokatywna.

\*

Mały eksperyment. Widzimy igrające zwierzęta; przypatrujemy im się z bezinteresowną sympatją (praktyczną) i powtarzamy mimowolnie w duszy ich skoki, giętkie ruchy, weselimy się razem z nimi — i to jest odczuwanie estetyczne w znaczeniu ścisłym, Lippsowskiem. Ale teraz, starajmy się wyeliminować z naszej świadomości ich nazwy, starajmy się zapomnieć, że to są psy, koty, żrebaki etc., a spróbujmy wyobrazić je sobie jako poprostu jestestwa żywe, a zarazem na tę samą platformę ogólną jestestw żywych przenieśmy siebie; czyli raczej zapomnijmy o tych



zwierzętach, że to są zwierzęta, a wyobraźmy je sobie jako osoby, jako *sui generis* „człowieczków“ zaklętych w te kosmate, ogoniaste, igrające ciała. Cóż nastąpi?

Naprzód, w chwili tej pracy umysłowej nastąpi zmańczenie kontemplacji estetycznej; jesteśmy bowiem prosto czem innym zajęci; ale potem? Czujemy się rozśmieszeni, to prawda, widzimy przed sobą jakby jakieś potworki rasy ludzkiej, jakieś gnomy człekokształtne; ale zarazem odczuwamy wybitnie odświeżenie naszego estetycznego oglądu zwierząt, lepiej dorównamy się subiektywnie do ich skoków i figlów, ich życie stanie się nam bardziej cenne — a to, widzieliśmy już, jest integralnym czynnikiem uczucia piękna.

Poważniejsze znaczenie ma idea „osobowości roślinnej“<sup>2)</sup> tutaj przeźłowieczenie ideowe odbyć się może na platformie bardziej ogólnikowej, niż w stosunku do zwierząt, z powodu, że i podobieństwo jest o wiele mniejsze, całkiem ogólnikowe, ale też — z tegoż właśnie powodu — i niema domieszki śmieszności (która należy do uczuć z pogranicza piękności i brzydoty). Natomiast zmiana wyglądu świata, zmiana pozytywna naszego wartościowania jest bez porównania większa. Nasze wzrastanie, dźwiganie się razem z potężnymi pniami poważnych, uroczystych drzew, precezyjne i subtelne dążenie i wyginanie się, zaokrąglenie się, wdzięczenie się, wraz z wykwinną i wesołą wyobraźnią gałązek, nasze misterne dzierganie się brzeżkami liści, nasze beztrioskie, szalone zbytowanie wraz z przehojnym, rozrzutnym, daleko poza bezpośrednią celowość „reklamy“ przechodzącym bogactwem kształtów, barw i woni w kwiatach, najwdzięczniejszych dzieciach słońca i ziemi — to wszystko otrzymuje zupełnie nową cenę w świetle myśli, że tu jest jakaś prawda, że są one wyrazem osób, mających jakieś cele, jakieś wymarzone kształty przed sobą, a zarazem wolnych, może mylących się czasami, może czyniących coś niepotrzebnego niekiedy, może uprawiających „sztukę dla sztuki“ w niektórych swych krokach, radujących się w przepychu i różnaitości nieprzebranej form — dla samej tej różnaitości i przepychu...

Lipps powiada, że doznanie estetyczne leży całkowicie „z tej strony pytania o rzeczywistości“, — ale my w naszych doznaniach estetycznych nie jesteśmy w siódmym zachwyceniu, z uwagą absolutnie skoncentrowaną na jednym przedmiocie, jesteśmy owszem podlegli całej reszcie naszej psychiki; myśli, uczucie, wola nie uległy zawieszeniu; wprawdzie w kontemplacji estetycznej żyjemy wspólnie nawet z rzeczami, o których całkiem stanowczo jesteśmy przekonani, że nie posiadają żadnej obiektywnej podmiotowości — ale zarazem pragnienie, aby w tem „życiu“, które odczuwamy w przedmiocie, było coś „prawdziwego“, „rzeczywistego“, aby to nie było w nas tylko złudzenie — pragnienie to działa w nas,

<sup>2)</sup> Myśliciel tak poważny, jak William Stern do „osób“ zalicza nawet kryształ. Oczywiście idzie o definicję czysto formalną. Kwestja podmiotowego wyglądu osobowości kryształnej czy roślinnej nie wchodzi zgoła w rachubę. Do wycieczek w tę stronę uprawniona jest tylko wyobraźnia artystyczna. Przy sposobności podkreślam, że Lipps rozróżnia stanowczo między przeźłowieczeniem estetycznym, ogólnikowym i mającym charakter konieczności, a przeźłowieczeniem mitologicznym, dowolną grą fantazji, (to drugie zresztą nie byłoby zrozumiałe bez pierwszego): i też rozróżnić należy między drzewem, jako najogólniejszą, ale zarazem bardzo specyficzną odczuwaną indywidualnością żywą, a drzewem wyobrażonym sobie, jako „wiesniaczka, która płacze“... I ja też, jeśli w dalszym ciągu zalecam „animistyczny pogląd na przyrodę“, to na myśli będę miał odczuwanie jej w znaczeniu Lippsowskim jako poczucie rzeczywistości.

a ta myśl, to pragnienie rozprasza kontemplację, ale tylko na chwilę; gdy odpowiemy mu potakująco, aktem wierzenia pewnego, to tu nastąpi właśnie owo udzielenie formy rozpraszającemu się uczuciu przez moment wyobrazeniowo-intelektualny: myśl, że „to drzewo jest — naprawdę jest — osobą“ w danej chwili, kiedy ją mam w centrum świadomości, nie ma wprawdzie nic, a w każdym razie bardzo niewiele z odczuwaniem drzewa w tenże sposób; ale kiedy powtórzyła się wielokrotnie, kiedy niejako weszła człowiekowi „w krew“ i działa z pobrzeża świadomości, to chroni nasze uczucie życia danego przedmiotu przed rozpraszaniem się, przed wyobrażeniami sprzeciwem; a wreszcie cokolwiekbyśmy powiedzieli o zupełnej bezinteresowności objawu estetycznego, to jednak jako rzeczywiście pełni ludzie, zawsze jesteśmy na tyle przynajmniej interesowni, że znamieniu rzeczywistości przypisujemy szczególną wartość; a wartość ta w doznaniu estetycznym gra tę przynajmniej rolę pozytywną, — aczkolwiek nie rolę bezpośrednią — iż naszą uwagę estetyczną nateża myśl obiektywnego życia psychicznego w przyrodzie, myśl, którą romantyk Uhland temi wyraził słowy: „powiadają nam, że człowiek tylko umieszcza własny nastrój w bezdusznej naturze — ale przecież on nic w przyrodę nie wniesie, jeśli ta ze swej strony nie wystąpi z podnietami, samodzielnie go pobudzając...“<sup>3)</sup> — myśl ta uznana być musi za wybitnie kalogeniczną; i to nie — podkreślimy raz jeszcze — jako działająca kazualnie, bezpośrednio, ale pośrednio ogólnikowo, z pobrzeża świadomości. Tu momentem intelektualnym jest np. sąd: „roślina jest osobą“, sąd, do którego dojść można, tym czy owym sposobem, dyskursem czy wiarą, to tu jest obojętne. Dość że ten sąd z chwilą, gdy się w nas utrwalił, gdy stał się w nas czemś psychicznie konkretnym, staje się momentem semiintelektualnym — uczuciem życia osobowego, z którym już zgóry przystępujemy do kontemplacji estetycznej danej rośliny i która na tę kontemplację, harmonizując się z nią, działa stabilizacyjnie i intensyfikacyjnie.

Mylą się się np. urbaniści, formiści, konstruktywisci i inni „technicyści“, jeśli na serjo sztukę swą uważają za „proletarjacką“... O ile są utalentowani, to utwory ich spodobają się koneserom; ale sztuką dla ludu jest — jak się słusznie wyraził ktoś, sam nie wierzący — to kazanie niedzielne, co ludzi, osowiałych od zmudy tygodnia, wstrząśnie i wzruszy Bogiem, szatanem, niebem i piekłem.

Jeden z nich, jako symbol „człowieka nad przyrodą“, wyobraża sobie np. kolejkę zębatą na Mnicha, za chwilę jednak wspaniałomyślnie cofa ten postulat. Czyżby pojął, że z udogodnień takich korzystałby przede wszystkim ów mieszczuch wygodny, którego on też nie lubi, a dla którego przyroda jest tylko jedną więcej fizjologiczną używką? Wprawdzie, nie bez słuszności, czyni on aluzję ironiczną do romantycznego „posągu człowieka na posągu świata“ — ale za to sam między symbolami „człowieka nad przyrodą“ proponując „kolejkę zębatą“, musi też zgodzić się na tę nieubłaganie z poglądów jego wynikającą konsekwencję, że tą „kolejką“ jeździłby właśnie ów „mieszczuch opasty, we własnej wygodzie widzący kryterjum wszystkich wartości“.

(Dok. nast.)

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

<sup>3)</sup> Cytuje według znanego „uniwersalisty“, Olmara Spahna „Gesellschaftslehre“, (Lipsk 1923 str. 309, który Uhlanda przytacza z ostrzem zwróconym przeciwko Lippsowi, nie replikując zresztą psychologicznie — jak w nin. art. — lecz wyłącznie metapsychicznie.

# D O N K I S Z O T

FANTAZJA SCENICZNA WEDŁUG CERVANTESA

## URYWEK I

DON KISZOT

Gdzieżem jest? Tak, poznaję: to mój własny dworek!  
Świerszczyk gra za kominem... Ogień z trzaskiem gore.  
Na ścianach cienie sprzętów. Błękitnieją szyby,  
Jakby niebo tuż było za oknem sadyby,  
— Le mógłbym z samem niebem gwarzyć po sąsiedzku,  
Jak mi się niegdyś w jasną noc marzyło, dziecku...  
O wy, moje nad książką przepędzone noce,  
Kiedy w sercu nadzieja lekliwie chroboce,  
A w głowie cud za cudem z cudu się wylega,  
Okraży świat, i wiąże z wszechświatem, jak wstęga.  
Ileż razy nad książką mi się majaczyło,  
Iż biję tłum pohańców, — a to serce biło!  
Ileż razy, gdy machnął książką nakształt szabli,  
Padali w proch pokotem djabli i nie djabli!..  
— Teraz prawdę marzenia zaświadczyłem czynem:  
Z Maurem zniosłem niewolę, a rany — z Baldwinem,  
Gdy, wyruszywszy w pole, zostałem rzucony  
Pod podkowsy olbrzymów armji rozjuszzonej,  
Łotra Pandofilanda zdradą przeobrzydła...  
(— Sanczo próżno bajdurzy, że to było bydlę,  
Któremu nieopatrzniem trafił pod racice! —)  
Przysięgam: zemstę kłeską olbrzyma nasycę!

(Rozgląda się)

Witajcie mi, rycerskich przygód księgozbiory!  
U was szuka lekarstwa duch tęsknotą chory,  
Z was, księgi, na mą błądność znów purpura padnie,  
Wasza pieśń heroiczna ustami zawładnie,  
A dusza bohaterów, w rytm poezji wryta,  
Niech w mych ustach triumfem brzmi, lub bólem zgrzyta!  
Co to? Książki niema? Zgroza! Czyżby zemstę wściekłą  
Zniszczeniem książek na mnie wywierali piekło?  
— To czyn Pandofilanda z czarnoksięską bandą!  
To on! Znów mi urąga! Giń, Pandofilando!

## URYWEK II

DON KISZOT

Wolność, wolność! mój bracie. Tylko jej nam trzeba,  
Szczęsny, kto winien niebu wdzięczność za dar nieba,  
Lecz niczego nie żąda od ludzi i świata...

SANCZO

Rety! Któż jegomości twarz tak pocharatał?

DON KISZOT

Gdś odjechał. spotkała mię wymówka cierpka  
Księżnej, zem smutny. Mówię: brak mi mego giermka.  
A księżna: — trójca panien niech ci wzamian służy,  
Są jak róże... Ja na to: — och, kolcami róży  
Raniłyby wiernego Dulcynei ducha!  
Nic, co żeńskie, nie wejdzie do mnie, nawet mucha!  
Zamknięte drzwi sypialni niech będą zaporą  
Między mną, a żądzami, które we mnie gorą!

SANCZO

Mnich z pana! Ja z kogutów, co pieją weselej!

DON KISZOT

Czarodzieje na cnotę mą parol zagięli: —  
Noc... Śpię z pończochą na łbie, bo mnie bolał diablo...

SANCZO

Pamiętka po wiatraku, coś go pan dźgnął szabłą.

DON KISZOT

Budzę się, bo klucz w zamku podejrzenie zgrzyta...  
Myślę: że skrytobójca, widmo, lub...

SANCZO

Kobięta!

DON KISZOT

Zgadłeś: bym milczał, ręką daje znak podwika...

SANCZO

Rad djabeł w te anielskie rączki ogon wtyka.

DON KISZOT

Rozpoznałem w zjawisku, gdy podeszło bliżej,  
Panią Rodrigez.

SANCZO

Rety! Babie szósty krzyżyk.  
Oj, nie rychło, Marychno, po śmierci wędrować!

DON KISZOT

W tym wieku najgroźniejsza bywa białogłowa,  
Bo nie mogąc nic stracić, chce wiele odzyskać.  
Zesztywniały, uczuwać, że zguba jest bliska,  
A w mózgu tabun myśli harcować zaczyna:—  
Wstyd będzie, gdy zrabuje mi ta starowina  
Wierność, com ją od młodych królewien uchował...

SANCZO

Racja, strzeż się pan wdówek, — szachraj każda wdowa!

DON KISZOT

W popłochu, kuso odzian, z pod kołdry się zrywam...  
Ona w krzyk i... w objęcia padła mi pół-żywa;

SANCZO

Wiadomo: w starym piecu zawsze djabeł pali!

DON KISZOT

Szczypię w nos, cucę, sadzam od siebie najdalej...  
Wreszcie bąkam, siarczyste czując ciarki w krzyżu:  
— Ja nie z marmuru, pani nie jesteś ze spiżu, —  
Pilnujmy się, bo lichy nie śpi nocną porą.

SANCZO

To w gruncie miało znaczyć: niech cię djabli biorą!

DON KISZOT

Babsko uparte, jak deszcz, gdy od trzech dni pada,  
O niczem wszystko ciurkiem gada, gada, gada!  
Gada, — choć grozę, gada, — choć proszę najczulej...  
Nareszcie ja do okna i w jednej koszuli  
Hyc! — aż z dwóch pięt na łeb skacze tak, jak stoję.  
Zmilkła, lecz na łeb z góry cisnęła mi zbroję.

(Wskazuje ślady na twarzy)

To są skutki próżniactwa na książęcym dworze.

SANCZO

Ja także o amorach mniej myślę, gdy orzę.

DON KISZOT

Spójrz, Sanczo, na wierzchowce z tamtej strony wzgóрка:  
Rossynant długą szyję zwiesił przez kark burka,  
Który półmordziem czule po boku go wiska...  
Para bydląt jest teraz człowieczeństwa bliska: —  
Któż nie krzyknie na widok ich przyjaźni błogiej:  
— Z ogoniastym Piladem — Orest czworonogi!  
Po duchocie zamczyska, jak mi w polu rzeźwo!  
Ceń wolność, Sanczo!

SANCZO

Pańskie nauki są mierzwą,  
Co użyłnia jałowy umysł w głowie mojej!

## URYWEK III

DON KISZOT

Noc umie stąpać cicho i niepostrzeżenie,  
Na mrocznym ciełe nocy bicze gwiazd się złocą,  
Splotły się z cieniem czarnym szczęścia jasne cienie,  
I co noc miłość bierze zaślubiny z nocą.

Już księżyc, — księżę nocy, — w przestworzach migoce,  
— Księżyc, senne marzenie ziemi ociemniałej;  
Tem jaśniejszy, im głębiej zanurzon w pomroce,  
Gdy noc jemu, on nocy chce się oddać cały.

Ja, stojąc oko w oko i tarcz w tarcz z księżcem,  
Widzę cuda tęskoty, co się w niebie dzieją:  
Księżyc jest Don Kiszotem, a noc — Dulcyneją,  
Dulcyneją w olśnieniu utajoną drzącem.

On gna po chmurach, światło po wądołach włóczy,  
Srebrem bije gościńce ponad mórz otchłaniają,  
Przedziera się przez rudą czerń gradowej tuczy,  
Bieży na kres bezkresu — za nią, za nią, za nią!

STANISŁAW MIŁASZEWSKI

## LIBERUM VETO

Nowy napad zamaskowanej szajki bandyckiej. — Oswojenie się ze złem... — Powtórzenia się historii. — Milczenie jako genjusz. — Upodobania władców. — Nowe złodziejstwa. — Przynajmniej do nacisku wyborczego.

**S**ROMOTNY szereg niewykrytych i nieukaranych zbrodniarzy powiększył się o nowe ohydne ich cienie w napadzie i okaleczeniu znakomitego publicysty, Adolfa Nowaczyńskiego. Jego potłukty i pokaleczyły pałki zbójckie, a cały naród pogromiła hańba czynów, które w zdrowym społeczeństwie nie mogą się zrodzić i wymknąć sprawiedliwości. Ból, który szarpie ofiarę zbrodni w ranach, szarpie ogół we wstydzie. Nie wybuchamy zgrozą, bośmy już do tych zamaskowanych bandytów przywykli, zapewniamy tylko świat, że naród polski nie jest prawowitym ojcem tych nikczemnych podrzutków, nie znajduje w swym sumieniu żadnego dla nich rozgrzeszenia i nie ponosi za ich podłe czyny żadnej odpowiedzialności. Po jednej stronie są wszyscy ludzie uczciwi, otaczający współczuciem mordowanego pisarza, a po drugiej szajka morderców, ich herszci i sojusznicy.

Są w obecnym życiu naszym pewne objawy i czyny w państwach kulturalnych niemożliwe, które u nas należą nie do przypadkowych, ale do stałych jego warunków. Podobni jesteśmy do Eskimów grenlandzkich, których istnienia Włosi lub Francuzi nie mogą zrozumieć, a którzy tak przywykli do mieszkania w chatkach ze śniegu i długiej zimy, że nie wyobrażają sobie pobytu w ciepłym klimacie. To nasze oswojenie się ze złem, przy gąbkowej miękości charakteru i nałogu poddaństwa nabytego w niewoli, jest może najgorszym skutkiem demoralizujących wpływów obecnego czasu. Traktujemy to zło nie jak zarazę, od której uchronić i wyleczyć się można, ale jak burzę lub trzęsienie ziemi, którym musimy się poddać. Trzeba jednak przyznać, że opinia krytyczna dojrzewa w coraz głębszych i coraz szerszych warstwach społeczeństwa, ale nie może wyrazić się dość głośno w organach prasy, którym nałożono tłumniki. Jak za czasów niewoli posługuje się ona nieraz językiem Ezopa, ukrywając myśl między wierszami. Ludzie zawsze wynajdą sposób porozumiewania się: gdy im nie wolno pisać — mówią, gdy im nie wolno mówić głośno — szepczą, gdy im nie wolno nawet szeptać — wypukują litery w ścianach swego więzienia.

Niedawno „Myśl Niepodległa“ i „Gazeta Warszawska“ podały treść i wyjątki pisma W. Hugo p. t. „*Napoleon le Petit*“. Trzeba przyznać, że urywki te są nader interesujące. Tak np. zdawałoby się, że milczenie może być zagadką, ale nie może być formą genjusza. Tymczasem dla pewnych umysłów posiada ono daleko większą siłę przekonywającą, niż najtępszy rozum. Dość gdy działa w atmosferze jakiego bądź kultu. Ktoś otoczony ślepa wiarą czcicieli, władający tylko jednym językiem, zapytany czy rozumie inne mowy, nie odpowiada i po pewnym czasie bałwochwalcy będą zaręczali, że on zna wszystkie języki świata. Ktoś stojący na wysokim stanowisku władzy, zapytany o plan przyszłego działania, milczy, a wreszcie zmęczony i zniecierpliwiony natrętną ciekawością oświadcza, że żadnego planu niema i mieć nie chce. Niezawodnie zahypnotyzowane media powiedzą: on ma wielkie plany, tylko ich nie wyjawia, bo zwyczajni śmiertelnicy nie zdolaliby ich pojąć i przeszkadzaliby mu w ich wykonaniu. Nie osłabiają tej wiary najoczywistsze dowody, najlogiczniejsze rozumowania, nawet najszczerze wyznania samych milczących hypnotyzerów.

Równie zadziwiającym zjawiskiem jest upodobanie niektórych władców do wszelkiej kanalji. Ludzie uczciwi są dla nich narzędziami nieużytecznymi, wołają łotrów i uległych niewolników, pomimo że oni zawsze ich najlepszą robotę popsują i zohydzą. Zwłaszcza zaś umysły małe i słabe, powiększające się opuchlizną zarozumiałości do potwornych rozmiarów, nie mogąc okazywać swej siły w pokonywaniu twardego oporu, uzyskują jej pozór działaniem w jego braku. Na to jest potrzebna kanalja, która otaczała „małego Napoleona.“

Po obszarach historii kłębią się szeroko obłoki wstrętnych dymów z trybularzów, w których pochlebcy zamiast kadzideł palą cuchnące wydzieliny swojego służalstwa. „Bhagawadgita“, opowiada, że, według Kriśzny kto chce dojść do doskonałości powinien przez całe życie wymawiać tylko jedną sylabę OM i nie czcić po za nim innego boga; wtedy „pójdzie najwyższą drogą“, nie będzie potrzebował przebywać dalszych wcieleń, bo „kto go kocha, nie zginie“. Tej rady trzymają się wszyscy głupi i nikczemni bałwochwalcy z tą jednak różnicą, że straciwszy łaski swego bóstwa, nie mogą już iść przy jego pomocy „najwyższą drogą“, są gotowi do „dalszych wcieleń“. Wieprz lub koń przywiązują się czasem do swoich panów, ale zwykle jest dla nich obojętne, kto je karmi, aby tylko karmił.

Posiadamy w Europie smutną sławę najwyższego procentu złodziei. Kradzieże przybrały tyle postaci, ile jest form życia. W każdej jego gałęzi, w każdym pączku siedzi ukryty tego rodzaju robak, który go toczy. Dziś nie wiadomo, kto nie jest złodziejem i gdzie go nie ma. To już nie wyrzutek społeczny, nie przestępca, ale typ pospolity, uznany, niekiedy nawet uprawniony narówni z innymi zawodami. Powiedzieć o kimś, że nie kradnie, znaczy tyle, co powiedzieć, że nie je, nie pije, nie ubiera się, nie chodzi do teatru — wogóle jest dziwakiem, opanowanym manją śmiesznej wstrzeźliwości. Do wielu gatunków złodziejstwa przybył świeżo nowy — kradzieże wszelkich dokumentów. Trudnią się tem specjalnie kasiarze, którzy rozpruwają kasy ogniotrwałe i rozbijają biurka pojedynczych osób i stowarzyszeń dla wydobycia z nich papierów z charakterem polityczno-społecznym. My znamy z niedalekiej przeszłości wszystkie zabiegi, sztuki sidła, łomy, węszenia śladów, jakich używa szpiegostwo dla zdobycia materiału do denuncjacji. Zdawało się, że te „judaszowe drzewa“ — zostały zniszczone i wyrwane z korzeniem. Gdzie tam! Rozrastają się bujnie i szerzą bezustannie. A czas obecny jest porą największego zapotrzebowania takich surowców, półfabrykatów i fabrykatów. Nadchodzą wybory. Ież one zużywają tajnych doniesień, ciężkich oskarżeń, plugawych oszczerstw i intryg, podkopów, kradzieży czci ludzkiej!

Dla wyborów ustawione zostały wszystkie aparaty i zmontowane wszystkie maszyny naciskowe, wynalezione i skutecznie działające w administracji austriackiej. Pamiętamy, jak to się działo w Austrii. Tu groźno komuś dymisją, tam odebraniem kredytu, tam śledztwem lub karą, gdzieindziej znowu zjednano obietnicą korzystnej dostawy, udzielenia koncesji, dania urzędu, lub dla całej warstwy społecznej — zmniejszenia podatków i zniesienia ograniczeń. Róg obfitości administracji austriackiej zawierał niewyczerpane dary. A jak dowcipnie wynalazła ona sposoby nacisku! Zjawia się do szynkarza miejskiego urzędowy pan i oświadcza mu, że jego karczmą stoi za blisko drogi o 10 centymetrów i że będzie musiał ją odsunąć. Nazajutrz przybywa komisja, która spisuje odpowiedni protokół, ale

szeptce przerażonemu szynkarzowi, że jeśli namówi chłopów do głosowania na wskazanego kandydata, sprawa będzie umorzona. Wybór zapewniony.

Wzory więc do przeprowadzenia „wolnych wyborów bez nacisku władz“ mamy; pozostaje tylko umiejętnie i sprawnie je zastosować dla wydobycia „niesfalszowanej woli narodu“. Wogóle jest to piękne i wzniosłe widowisko, po którym trudno nie krzyknąć: „Niech żyje parlamentaryzm!“

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

## G Ł O S Y

### BRATERSKIE STOSUNKI

**D**OBRZE jest posiadać przekonujące dowody na rzeczy, o których mówi się, jak o pewniakach, nie wiedząc jednak na czym się opiera opinia w danej kwestji. Głos powszechny uważa Stresemanna za masona. Otóż prasa antymasońska włoska podaje obecnie list, który w dn. 20 października 1923 r. umieścił wychodzący w Buenos Aires miesięcznik masoński „*La Cadena de Union*“, i który dotyczy tego właśnie ważnego dla masonerii faktu.

„Drogi bracie i przyjacielu, donoszę ci z przyjemnością nowinę, której jesteście w stanie udzielić ci pierwi. Niemiecki kanclerz państwa, Gustaw Stresemann został przyjęty do Wolnomularstwa w dn. 22 czerwca r. b. (1923) do loży „Fryderyk Wielki“, filji Wielkiej loży *Zu den 3. Weltkugeln*. Ponieważ Stresemann jest pierwszym niemieckim kanclerzem, przyjętym do loży, wypadek ten ma specjalne znaczenie. Jest rzeczą znaną, że w Wolnomularstwie francuskim istnieje silne dążenie do trwałego zbliżenia między Francją i Niemcami. To też będzie rzeczą godną ubolewania, jeśli Poincaré'emu uda się swoją polityką osiągnąć odwołanie gabinetu Stresemanna. Pozdrowienie i braterski uścisk dłoni

Wasz Teodor Aleman.

W świetle takich rewelacji trzeba patrzeć na podwójność stosunków międzynarodowych. Stresemann i jego bracia niemieccy mają w świecie, nawet w krajach zostających pod grozą odwetu, swoich przyjaciół w roli partnerów politycznych. Tak było w czasie wojny, kiedy się nie rozumiało, co może Francuzów (Caillaux, Malvy) albo Polaków... zniewalać do prowadzenia polityki progermańskiej.

Noworoczny numer „Głosu Prawdy“ na pierwszym miejscu (przed portretem sterników polskiej nawy państwowej) ozdobiony był portretem Stresemanna i obszernym wywiadem. Dziennik ten, tak nienawidzący przewodców polskiej polityki narodowej, wysłał do Berlina w roli „specjalnego wysłannika“ dr. Emila Breitera, który w dłuższej pogawędce informował Stresemanna o położeniu w Polsce. Niemiecki minister spraw zagranicznych przyjął wysłannika organu sanacyjnego, leżąc w łóżku. Chory nie szukał jednak u dr. Breitera porady, raczej szukał informacji.

— Jak tam jest dzisiaj u was w Polsce? — pyta Stresemann.

Odpowiadam — opowiada Breiter, — że od przewrotu majowego jest zasadnicza i olbrzymia zmiana na lepsze. Daję mu syntezę i charakterystykę całego przewrotu i roli, jaką Marszałek Piłsudski odgrywa w historii budowy państwa polskiego. A zresztą, mówię, p. minister przecież niedawno mówił z Marszałkiem Piłsudskim w Genewie?

— Tak jest mówiłem, zrobił na mnie głębokie wrażenie człowieka szczerego, o głębokich namietnościach, który niczego nie ukrywa i wszystko jasno mówi, do czego dąży.

Pan Breiter nie dziwił się niczemu, nawet gdy dyplomata niemiecki zapewniał go, że „nie wiedział wcale“, iż stosunki Polski z Litwą były tak „paradoksalne“, bo „nie było ani połączenia telegraficznego, ani kolejowego, ani pocztowego między Polską a Litwą“.

— „Teraz jednak rozpoczną się chyba bardzo szybko rokowania bezpośrednie“ — powiada Stresemann, jakby to zależało od Breitera nie od niego. Stresemann nie przyznał się Breiterowi, że Litwa jest narzędziem jego polityki i zagadnął nagle:

— A teraz — pyta się minister Stresemann — dlaczego Piłsudski, za którym, jak pan mówi, stoi cały naród, w czasie wyborów do Rady miasta Warszawy uzyskał stosunkowo niewielką liczbę głosów?

— Pan minister jest źle poinformowany, odpowiadam. Piłsudski nie reprezentuje w Polsce żadnej partji, ale światopogląd i ideologję. Za Piłsudskim stoi olbrzymia większość narodu, a wybory do rady miejskiej w Warszawie są właśnie (?) dowodem, że elementy reakcyjno-nacjonalistyczne, a więc te, przeciw którym dokonał się przewrót majowy, poniosły klęskę. Podobnie kształtuje się również sytuacja w czasie obecnej kampanji wyborczej do sejmu. W obozie Piłsudskiego są wszystkie odcienie polityczne, od skrajnych radykałów aż do elementów prawicowych.

„Rozmawialiśmy jeszcze o Wilnie“ — pisze nie spostrzegający ironji cudzej a niedyskrecji własnej p. Breiter:

— Piłsudski najchętniej zrobiłby z Wilna stolicę Polski.

— I słusznie — odpowiada p. minister.

— Jak mam to rozumieć?

— Bo zawsze małe miasto jest odpowiedniejszym miejscem jako stolica, niż miasto wielkie.

W rozmowie poruszono nadto szereg zagadnień literackich. Stresemann wyraził żal, że nie mógł być w Pen Clubie, aby widzieć Kadena Bandrowskiego...

Tak sobie pogwarzali po bratersku; ani się spostrzegł p. Breiter, kiedy się to stało, że dał wywiad niemieckiemu dyplomacie o polskich stosunkach wewnętrznych.

### BOLSZEWIZM WE FRANCJI

**P**ARYSKI „*Temps*“ zamieścił niedawno artykuł, omawiający program działalności C. O. G. T. U. (*Confédération Générale du Travail Unitaire*), francuskiej organizacji o zasadach bolszewickich. Z przytoczonych przez dziennik francuski uchwał zjazdu tej organizacji, odbytego niedawno w Bordeaux, widać, jak poważne niebezpieczeństwo grozi z tej strony Francji na wypadek wojny. Wobec tego, że zasady i działalność bolszewików są we wszystkich krajach jednakowe, wobec niedawnej ich zapowiedzi wzmocnienia propagandy w Polsce, warto zapoznać się z uchwałami zjazdu w Bordeaux bliżej.

Zjazd poleca, między innymi, swym członkom, jako działalność na najbliższą przyszłość (*des tâches immédiates*):

„Podnieść do *maximum* propagandę antymilitarystyczną we Francji i kolonjach, organizować wszędzie „*le sou du soldat*“, co wytworzy łączność między robotnikami, żołnierzami i marynarzami.

„Wykazywać, że pracownicy winni organizować bojkot i sabotaż transportów wojsk, broni i amunicji i że strajki zarówno w zakresie transportów lądem i morzem, jak i w przemyśle metalurgicznym i chemicznym winny być przygotowane zawczasu.

„Rozszerzyć i wzmacniać syndykaty w portach, walczyć o nadanie tym organizacjom kierunku istotnie rewolucyjnego, zdolnego do przeprowadzenia decyzji, powziętych przez C. O. G. T. U. odnośnie do sabotażu i bojkotu transportów wojsk i wyrobu amunicji“.

W razie konfliktu, któryby postawił wojsko przeciw wojskom bolszewickiej Rosji, zjazd „daje uroczyste ostrzeżenie“ wszystkim imperjalistycznym kierownikom, że robotnicy staną po stronie czerwonej armji. Wypowiedzenie wojny Rosji jest zarazem wypowiedzeniem wojny domowej ruchowi robotniczemu.

Akcję antimilitarystyczną—powiadają dalej uchwały Zjazdu—należy prowadzić przez organizowanie kas żołnierskiego grosza (*sou du soldat*), przez organizowanie syndykatów z pośród powołanych świeżo do wojska, urządzanie dla nich pożegnań, wreszcie przez wywoływanie wogóle fermentów wśród młodych ludzi różnego wieku, którzy mogą zostać do wojsk powołani.

A. W.

### PORTRECİK POLITYCZNY

**B**ARDZO charakterystyczna dla dzisiejszych stosunków w Europie moda lewicowa dyktatury znalazła swego satyryka w Ludwiku Latzarusie, który zamieścił w gwiazdkowym numerze paryskiej „*La Revue Hebdomadaire*” sylwetkę typu. Warto ją przytoczyć:

„Józef to prekursor. Poucza lewicę, że zdolna jest porodzić... dyktatora. Ledwie przycichły echa skandalu, już najzgorzalsi republikanie zaczęli rozmyślać nad tem, iż władza to jednak rzecz wcale ponętna, a także nad tem, iż gwałtem można osiągnąć od razu to, na co dotychczas czekało się długie lata. Jednem słowem marzenia skrajnych prawicowców przeniosły się do przeciwnego obozu. Ponieważ zaś niewypada powoływać się na Napoleona pierwszego lub trzeciego, przytacza się Robespiera i jakobinów. Historia jest bogata, każdy w niej znajdzie przykłady takie, jakich mu trzeba.

Strzeż się jednak, mój synu, brać za wzór Józefa. Każdy prekursor bywał głupawy. Ten również nie stanowi wyjątku. Cała jego karjera to jedno wielkie głupstwo. Mniejsza o to, że sprzeniewierzył się tradycjom rodzinnym. Można by mu to darować, gdyby potrafił zrobić sobie duszę w sposób oryginalny. Ale Józef ma duszę taką, jaką odziedziczył — pod szychem demagogji bije pyszałkowane serce drobnego szlachetki. Łudził się, że zdoła pozyskać miłość ludu. Tymczasem wszystko go od ludu oddala. Przedewszystkiem pogarda, jaką dla ludu żywi. W epoce, w której naczelną zaletą polityka powinna być uprzejmość i wdzięk manjer, Józef sypie wyrazami obelżywymi, jest wyniosły, prowokuje. W otoczeniu swoim znosi tylko lokajów, a ponieważ nie pyta ich zgola o papiery—wszystkie czynione przez nich skandale idą na jego rachunek. Nigdy nie umiał myśleć zgodnie z narodem. Przeżył wojnę myśląc kategorjami przedwojennymi. Po wojnie przeżuwa światopogląd studencki z r. 1880. Został daleko w tyle za swoją epoką, a wyobraża sobie, że ją wyprzedza. Szuka rozwiązania zagadnień bieżących w Cezarze, ale udaje mu się postępowanie swoje nawiązać do zupełnie innych zamierzonych tradycji. Ma w sobie coś z Caiusa Gracchusa i coś z Korjolana. Uchodzi za inteligentnego. Nie wierz temu synku. Posiada umysłowość szkolarską, doktrynerską, właśnie taką, jakiej polityk posiadać nie powinien. Jeżeli chcesz, synku, dobrze postępować — rób wszystko to, czego Józef nie zrobił”.

Lazarus miał prawdopodobnie na myśli Józefa Caillaux.

### PRZEGLĄD POLITYCZNY

Pierwsze listy kandydatów do Sejmu — Mowa min. Zaleskiego —  
O zbliżenie włosko-francuskie.

**O**KRES przedwyborczy rozpoczął się już na dobre: poszczególne stronnictwa zgłaszają państwowe listy kandydatów, organizują się porozumienia, bloki i komitety wyborcze, odbywają się ostatnie narady przywódców grup i zrzeszeń. Z listą kandydatów pierwszy wystąpił „Bezpartyjny komitet współpracy z Rządem”, cieszący się, jak wiadomo, usilnem poparciem sfer oficjalnych. Na liście, jak wynika z informacyj dziennikarskich, widnieją nazwiska kilku ministrów, kilku majorów, kilku przywódców „Strzelca”, kilku arystokratów. Blaskiem sanacji moralnej promienieje na niej imię redaktora „Ilustrowanego Kurjera Codziennego” p. Marjana Dąbrowskiego. Pozatem: monarchiści, synnarchiści, republikanie, radykalni demokraci... Jak się zdaje, „Komitety współpracy z Rządem” nie zamierza wogóle występować z jakimkolwiek programem politycznym.

Listę Nr. 2, zgłosiła Polska Partja Socjalistyczna. Ponieważ lista ta jest wynikiem porozumienia między socjalistami polskimi i niemieckimi, ponieważ jako kandydaci poumieszczani są na niej zarówno Polacy jak Niemcy, ponieważ wreszcie zespolenie między obu grupami nastąpiło nie na gruncie polskości, ale socjalizmu, w interesie ścisłości listę Nr. 2. należałoby nazwać właściwie „polsko-niemiecką listą socjalistyczną”.

Komitety katolicko-narodowy, jak dotąd, państwowej listy kandydatów jeszcze nie zgłosił. Praca organizacyjna Komitetu prowadzona jest na terenie całego Państwa z coraz większą energią, biorą w niej udział liczne żywiły bezpartyjne, dotychczas stroniące od polityki, obecnie jednak rozumiejące coraz lepiej ważność chwili i powagę ciężącej na każdym obywatelu odpowiedzialności.

Podobnie jak przed rokiem, minister spraw zagranicznych p. August Zaleski wygłosił dn. 9 b. m. przemówienie polityczne na bankiecie „Towarzystwa Badań Międzynarodowych”. W przeciwieństwie do energicznych wyrażen, skierowanych pod adresem Niemiec w przemówieniu zesłorocznem, tym razem minister Zaleski wypowiedział się o stosunkach polsko-niemieckich w tonie tak ciepłym, jakiego dyplomacja nasza nie używała bodaj od czasów Rady Regencyjnej. Minister spraw zagranicznych nietylko z naciskiem przypomniał oświadczenie swe o dążeniu „do ustalenia i utrwalenia jaknajlepszych... stosunków sąsiedzkich z Niemcami”, ale nawet zauważył „sporo dowodów dobrej woli”, okazywanej w stosunku do Polski „ze strony kierownictwa niemieckiej polityki zagranicznej”. „Niema już chyba poważnie myślącego Niemca” — mówił min. Zaleski — „któryby powtarzał popularne w swoim czasie w Niemczech twierdzenie, iż Polska jest tylko *Saisonstaatem*”. Niewątpliwie pogląd p. ministra spraw zagranicznych jest najzupełniej trafny. Warto jednak byłoby zbadać przy sposobności zagadnienie, ile też milionów Niemców myśli niepoważnie...

Podczas gdy polski minister spraw zagranicznych tyle uwagi poświęca kwestji „jaknajlepszych stosunków sąsiedzkich z Niemcami”, w świecie międzynarodowym wielkie wrażenie wywarł ogłoszony w „*Echo de Paris*” wywiad z jednym z najwybitniejszych przywódców i teoretyków faszystów, p. Francesco Coppola. W wywiadzie tym Coppola wypowiada się za ścisłym sojuszem włosko-francuskim, zapewniającym Francji całkowite bezpieczeństwo w stosunku do Niemiec, wzamian za co Włochy otrzymałyby w zarząd tereny kolonialne na wschodnim wybrzeżu morza Śródziemnego. Prasa niemiecka uważa za rzecz zupełnie niemożliwą, aby wywiad tak wybitnego przedstawiciela faszystów ukazał się bez wiedzy i zgody Mussoliniego.

Zagadnienie, poruszone w wywiadzie Fr. Coppoli, jest niezmiernie doniosłe. Ludność Włoch wskutek niezwykle szybkiego przyrostu naturalnego, zwiększa się o mniej więcej pół miliona rocznie. Już w chwili obecnej dorównywa ona niemal ludności Francji, aczkolwiek terytorjum Italji jest nietylko mniejsze, ale przedewszystkiem o wiele uboższe. Przyznać należy, że rząd Mussoliniego zdobywa się na największe wysiłki, aby tę wzrastającą ludność wyżywić o ile możności we własnym kraju, czego dowodem skuteczne zwiększenie produkcji rolnej (t. zw. *battaglia del grano*) oraz olbrzymie prace w kierunku t. zw. „waloryzacji gospodarczej” Włoch południowych, podjęte przez ministra robót publicznych Giuratięgo. Tem nie mniej zagadnienie przeludnienia Włoch istnieje i domaga

się rozwiązania. Jest sprawą największej doniosłości, ażeby rozwiązanie tego szukano nie w zatargu z Francją, ale przeciwnie przy pomocy wzmocnienia jej mocarstwowego stanowiska przez ułatwienie jej stanowczej, nieskrępowanej polityki na kontynencie europejskim.

J. R.

## NAUKA I LITERATURA

### WOJNA I POKÓJ

**T**RAKTATY zawarte w roku 1919 w Paryżu i jego okolicach różnią się zasadniczo od większości traktatów, jakie znamy z historii państw europejskich. Dawniej, do końca wieku XIX-go, opierano traktaty pokoju na uświęceniu nowej równowagi politycznej między państwami, stwierdzonej przez wyniki wojny. Im ściślej zdołano uchwycić przy pertraktacjach pokojowych tę nową równowagę, tem trwalszy był pokój. Mówiono wprawdzie zawsze o słuszności i sprawiedliwości, liczone się wszakże tylko z siłą kontrahentów. W roku 1919 pięciu kierowników wielkich mocarstw, którzy bezapelacyjnie wszystko decydowali, oświadczyło, że uważają zasady równowagi za przestarzałe, że nie będą się liczyli z siłą państw, że nie będą brali w rachubę względów strategicznych i gospodarczych, lecz że oprą się wyłącznie na etnografii i ustalą taki porządek w Europie, którego już nikt nigdy nie zburzy. Porządek ten miał być oparty na słuszności i sprawiedliwości, a przeto wojna rozpoczęta w roku 1914 miała być wojną ostatnią.

Jakże daleka jest rzeczywistość dzisiejsza od tych nadziei i przewidywań! Wszyscy czują w Europie, że pokój nie jest wcale pewny, a od czasu do czasu przechodzą przez nasz kontynent prądy, które zapowiadają wojnę. Państwa zwycięskie i te, które odzyskały przez wojnę niezależność lub powiększyły swój stan posiadania, nie pragną wojny i są zwolennikami pokoju, lecz państwa zwyciężone uważają traktaty za szczyt niesprawiedliwości i nie ukrywają tego, że dążą do ich zasadniczej zmiany; ze względu na swą dziś słabość wojskową głoszą, że tylko środkami pokojowymi, lecz czy jest ktokolwiek, ktoby wątpił, iż zastosują wszelkie środki, gdy uznają, że to może zapewnić im powodzenie.

Zdawałoby się, że politycy europejscy powinni wyciągnąć konsenkwencje z doświadczenia już prawie dziesięcioletniego i zrozumieć, że zamiast budować trwałość pokoju na papierowych gwarancjach i wierze w nowego „ducha“ wśród ludzkości, którego, jak się okazuje, niema, lepiejby było zapewnić tym państwom i narodom, które są zainteresowane w utrzymaniu nowego i niewątpliwie sprawiedliwszego układu terytorjalnego w Europie, środki i zasoby, potrzebne do utrzymania nowego porządku, i przeprowadzić między niemi taki system sojuszków, opartych o odpowiednie siły wojskowe, któryby trwałość pokoju i nowego układu zabezpieczył. Nic o tem nie słyhać; natomiast widzimy, że robione są wciąż wysiłki oparcia pokoju na systemie, który zawiodł. Od lat ośmiu są wciąż ponawiane usiłowania gromadzenia nowych gwarancji w postaci umów, zobowiązań międzynarodowych, uchwał i protokółów. Ośrodkiem tej pracy jest Liga Narodów. Istnieje już bogata tradycja, doświadczenie, literatura, język specjalny, zrozumiały tylko dla wtajemniczonych, nieomal nowa religia z nowym kultem. Wiedzą o tem ci, co bywali w Genewie.

Jedynym zaś widocznym skutkiem tych wszystkich wysiłków jest to, że narody zainteresowane w utrzy-

manii nowego, lepszego porządku w Europie rozbrajają się moralnie i materialnie, wyrzekają się dotykanych gwarancji; państwa zaś, dążące do rewizji traktatów i powrotu do dawnego porządku, pozbywają się więzów nałożonych przez traktaty i jawnie się przygotowują do odwetu. Gdy państwa zwycięskie będą dostatecznie osłabione, a państwa zwyciężone się wzmocnią, wówczas wybuchnie nowa wojna. Powodów do niej nie brak — na wschodzie, na zachodzie i na południu.

Tym wysiłkom, zwróconym ku zabezpieczeniu pokoju przez gwarancje i zobowiązania międzynarodowe, poświęcił ciekawą i doskonale napisaną książkę prof. Bohdan Winiarski. Tytuł tej książki: „Bezpieczeństwo, arbitraż, rozbrojenie“<sup>1)</sup> Omawia w niej na-przód stosunek paktu Ligi Narodów do zagadnienia bezpieczeństwa, następnie zaś przedstawia ściśle i szczegółowo to wszystko, co w ciągu ostatnich lat ośmiu zrobiono, by wzmocnić gwarancje bezpieczeństwa, oraz to, co zrobić zamierzano, a więc projekt traktatu wzajemnej pomocy z roku 1923, protokół genewski z roku 1924 wreszcie umowy lokarneńskie z roku 1925. Wszystko to wydaje się wszakże nawet samym autorem i entuzjastom nowych metod niedostateczne, skoro wciąż szukają nowych gwarancji. Z tej troski wyniknął wniosek Polski na zeszłorocznem zgromadzeniu Ligi, a obecnie najświeższy, jeszcze w tej chwili, gdy to piszemy, nieznan w szczegółach projekt amerykański wyjęcia wszelkiej wojny z pod prawa.

Równie szczegółowo i ściśle przedstawia prof. Winiarski to, co zrobiono dotychczas w sprawie arbitrażu i rozbrojenia. Nikt nie może lekceważyć tych wysiłków, muszą się z niemi liczyć nawet ci politycy, którzy w ich skuteczność nie wierzą. Wytworzył się już cały splot faktów, które są z kolei czynnikami w polityce, przekreślić już tego, co się stało, nie można. Dlatego trzeba znać dzieje wysiłków pokojowych, zrobionych na terenie Ligi Narodów. Znajomość tę muszą posiadać nie tylko politycy zawodowi, lecz i szeroki ogół. Dlatego to jest książka prof. Winiarskiego aktualna i użyteczna.

Autor traktuje swój przedmiot z punktu widzenia prawnego i historycznego, nie mógł wszakże całkowicie pominąć jego strony politycznej. Wypowiada się ostrożnie, jak przystało na uczonego, dość wyraźnie jednak, by czytelnik zrozumiał, że za jedyną pewną gwarancją bezpieczeństwa, a więc niepodległości i całości terytorjalnej należy, mimo wszystko, uważać siły własne i gotowość do odparcia z bronią w rękę wszelkich zamachów na najwyższe dobra narodowe. Najpewniejszą gwarancją bezpieczeństwa jest, jak słusznie powiada prof. Winiarski, cytując przy tej okazji Kochanowskiego, „pewny żołnierz na granicy“.

Wszyscy pragniemy pokoju, wszyscy uważamy wojnę za straszną katastrofę. Różnica poglądów istnieje tylko co do tego, jakimi środkami można zapewnić długie trwanie pokoju. Jedni wierzą w to, że odbyła się zasadnicza zmiana w stosunkach między narodami i w duszach ludzkich, wyobrażają sobie, że wojny wynikają ze złej woli jednostek, lub też ze złych skłonności narodów całych, inni natomiast twierdzą, że nic się w tym zakresie od wieków nie zmieniło, że w stosunkach międzynarodowych niestety wciąż jest decydującym czynnikiem siła, a ludzie, działają wciąż pod wpływem tych samych instynktów i namiętności; twierdzą dalej, że wojny należy porównać do żywiołowych katastrof w przyrodzie, które można

<sup>1)</sup> Poznań 1928. Księg. Uniwersytecka (Fiszer i Majewski).

ograniczyć, smutne, ich następstwa złagodzić, lecz których żadną uchwałą ani zobowiązaniem usunąć z powierzchni ziemi się nie da, podobnie zresztą, jak nie można usunąć chorób postanowieniami wiecowemi. Nie przez zapoznawanie praw odwiecznych, rządzących życiem ludzkości, lecz przez znajomość tych praw i stosowanie się do nich w życiu zbiorowym i polityce można dużo złego uniknąć i od wielu złych następstw się zabezpieczyć. Ludzie, znający historję i mający historyczny sposób myślenia, nie posiadają wiary w pokój wieczny, sądzą natomiast, że przez politykę realną i pozytywną, liczącą się z naturą ludzką i z warunkami życia narodów historycznych, można przedłużyć trwanie pokoju.

STANISŁAW KOZICKI

#### PRZEDZIWNY ŻYWOT LORDA... ENDYMIONA

W WYDAWANYM od niedawna przez paryską księgarnię Gallimard'a zbiorze „Żywotów sławnych ludzi“ („*Vies des hommes illustres*“) ukazał się świeżo zyciorys jednego z najznakomitszych mężów stanu Anglii XIX-go wieku, mianowicie Benjamina Disraeli'ego, lorda Beaconsfield'a („*La vie de Disraeli*“, str. 340). Autorem tego zyciorysu jest znany powieściopisarz André Maurois, który niedawno, specjalizując się snadź w sprawach angielskich, obdarzył piśmiennictwo francuskie bardzo pięknie napisanym zyciorysem Shelley'a („*Ariel ou la vie de Shelley*“).

Od uduchowionego twórcy „Epipsychidjona“ do twórcy... traktatu berlińskiego, który wystrychnął zwycięską Rosję na dudka (sto tysięcy zabitych i sto milionów wydanych — na nic, jak się wyraził książę Gorków) — przeskok dość nieoczekiwany. Takby się zdawało! Tymczasem utalentowany autor potrafił tyle poezji wycisnąć z żywota bezwzględniego polityka, że, doprawdy, mąż stanu schodzi na drugi plan, wyobraźnię natomiast czytelnika opanowuje jednostka, przypominająca byronizujących bohaterów powieściowych, niekiedy nawet posępnych i przeczulonych światowców Feuillet'a, ... „Wymaganiem serca mego jest, żeby życie moje było nienastanną miłością“... „Pragnę albo zupełnej samotności, albo zupełnej sympatji“... „Najbardziej urocza z pomiędzy kobiet, nigdy nie była tak zachwycająca, jak dzisiejszego popołudnia, mógłbym siedzieć przy niej ciągle, podziwiając jej ruchy, które są samym wdziękiem, i słuchać jej olśniewającej mowy; niestety jednak, straszna myśl wstrząsa mną od czasu do czasu — mianowicie, że wizyta jej, jest wizytą pożegnalną. Kiedyż ustana te ciągle rozłąki? Jestem zdania, że niema większego nieszczęścia, jak posiadać serce, które niechce się starzeć“... Tak się uskarża i tak melancholizuje nie jakiś młodzieńczy kochanek, niepewny swoich spraw sercowych, lecz siedemdziesięcioletni starzec, podagryczny kokiet, który niechce się pogodzić z myślą, że jego „*fort belle jambe*“ (z listu Disraeli'ego), nie jest już tem, czem była za młodu. Kochał wszystkie kobiety, jak powiadał, mniej zmysłami, więcej wyobraźnią, uwielbiał je jako jedno z wcieleń piękna na ziemi, tak jak zachwycił się kwiatami, widokami pięknej natury i t.p. W uprawianiu przyjaźni kobiecych był bezinteresowny, z roli wszakże dobroczynnej, jaką odegrały w jego życiu, zdawał sobie jasno sprawę i z tem nie krył się przed światem.

W jednej z ostatnich swoich powieści p. t. „Endymjon“ przedstawia Disraeli dzieje młodego polityka, który powodzenie swoje zawdzięcza przyjaźni kobiet. Jest tu wiele z jego własnych dziejów jako polityka i wogóle człowieka, zdobywającego swoje miejsce w świecie. Kobietom zawdzięczał Disraeli swoje powodzenie w arystokratycznym towarzystwie angielskim, do

którego przeciskał się od lat najmłodszych, pożerany ambicją władzy oraz urzeczywistnienia wymarzonego ideału świetności życiowej. Za nim przyszło, na schyłku życia, powszechne uznanie, uznały go pierwsze kobiety, w naturze bowiem Disraeli'ego istniały te wszelkie przymioty, które nęca świat kobiecy.

Było w charakterze przyszłego lorda Beaconsfielda coś prowokującego i drażniącego, a przede wszystkim nie był nudny: zaciekał i bawił swojemi dandysowskimi fanfaronadami, cynicznym dowcipem, paradoksami, mizdrzeniem się, a nawet szczerem wyznaniem robienia „bajecznej“ karjery, (w bardzo młodym wieku zuchwale głosił, że chce zostać premierem rządu angielskiego). Działał na wyobraźnię kobiet zarówno malowniczością stroju swego, jak barwnością swego umysłu — ruchliwego, ekscentrycznego, nagłą błyskawicą niweczącego konwencjonalność i urągającego wszelkiej urzędowości. Kobiety doskonale się bawiły w towarzystwie Disraeli'ego i, wskutek tego, robiły mu reklamę, dzwoniły na jego chwałę.

Za te same przymioty nie znosili go mężczyźni; lord Stanley powiedział raz o Disraeli'm: „jeśli ten nicpoń wejdzie w skład ministerjum, ja zeń wystąpię“; o wiele dosadniej wyraził się o nim zgryźliwy Carlyle: „Jakże długo jeszcze pozwole John Bull tej nieznośnej małpie tańczyć na swoim brzuchu“... Nie wspominam już o politycznym rywalu — Gladstone'ie, który się nim gorszył, a także o całej purytańskiej Anglii, która widziała w nim wcielenie Szatana. Nawet ludzie, należący do jednego z nim obozu politycznego, torysi, których stał się leaderem, czuli się wobec niego „nijako“, dreszcz niepokoju przebiegał po ich skórze, doznawali uczuć Fausta wobec Mefistofelesa. W końcu zwycięży opinia kobiet, t. j. wszyscy się zgodzą na to, że mieli do czynienia z niezwykłą jednostką, z niezrównanym graczem i artystą istnienia, który dodawał blasku ich własnemu życiu. Wszyscy oceniają go tak, jak Bismarck (po kongresie berlińskim), który wyraził się o nim: „*Der alte Jude, das ist der Mann*“ („Stary żyd“ — oto człowiek).

Gdy Disraeli, po długich latach walk politycznych, schodził z tej widowni, gdzie święcił wielkie triumfy i doznał nie jednej porażki, gdy z Izby Gmin przeszedł do Izby Lordów, wszyscy, przyjaciele i przeciwnicy, odczuli to jak wielką wspólną stratę. Jeden z przeciwników, Sir W. Harcourt, pisał doń: „Nie wyobrażałem sobie, jak wielką będzie zmiana. Wszelka rycerskość, wszelki urok — rzekłbyś nas opuścił. Nic nie pozostało, prócz rutyny. Teraz na szachownicy gra będzie szła tak, jak po odejściu królowej: będzie to nędzna walka pionków“.

„Nieznosna małpa“ która na ciężkim ciele John Bull'a wykonywała, przez pół wieku memal, ucieszne łamańce i grymasy, zesza z niego triumfalnie, oklaskiwana przez tłumy, czczona przez tych, co niegdyś ją lżyli i gorszyli się jej widokiem. Na zmianę tego rodzaju wpłynęło niewątpliwie oswojenie się z jednostką oryginalną, nie dającą się łatwo spędzić ze sceny: stąd, wkońcu, podziw i objawy szacunku ze strony szerszego ogółu; wpłynęły także sukcesy polityczne i zasługi wobec Anglii; nie mniej jednak wpłynęło i to, że odczuto w nim człowieka nie na miarę krawca, artystę życia, który zdobywał, najtrudniejsze do zdobycia pozycje po mistrzowsku, zawsze z zachowaniem własnego stylu, a przytem więcej dbał o artyzm w grze życiowej, niż o doraźne korzyści. Powoli schodził na współczesnych — a i potomni nie są od tego wolni — urok od Disraeli'ego — poety, który marzenia swoje wcielał z uporem w życie, od Disraeli'ego — myśliciela, który na zabiegi ludzkie patrzył z wysoka, i więcej cenil sam poryw życia, jego piękną i wiosenną młodość, niż to co z niego chwytają śmiertelni w chciwe nienasycone dłonie.

Skąd to wszystko, tego rodzaju rysy charakteru i usposobienia duszy, w jednostce, pochodzącej z rasy, odznaczającej się innego typu kulturą duchową, z rasy wyszukującej życie i jego dobra materialne prozaicznie, bez cienia poezji, i ubiegającej się o władzę w świecie, by zapewnić sobie panowanie nad materją?

W Disraelim uderza brak chciwości rasowej i bezinteresowność: przez całe życie, nawet jako przywódca panującego stronnictwa i wielki minister - premier, nie wychodzi z długów, które opęda nieraz honorarjami z powieści swoich. Dbą o interesy finansowe państwa (wykupienie akcji Kanału Suezkiego), swoje zaś sprawy materialne zaniedbuje i nie korzysta z władzy posiadanej w celu zwiększenia własnej fortuny.

Różni się od plemienia swego wieloma innymi przymiotami: żywi uczucia wdzięczności dla ludzi, którzy mu sprzyjali, jest wierny w przyjaźni, na wrogach nie mści się, pokonanych w walce — nie dobija, umie być wspaniałomyślnym wobec przeciwników (poniewierającego nim Carlyle'a odznaczył jak mógł najwyżej, jak tylko doszedł do władzy i t. p.). — słowem zachowuje się zawsze jak urodzony *gentleman*.

Roger Lambelin w znanej książce swojej „*Le règne d'Israël chez les Anglo-Saxons*“, zarzuca Beaconsfield'owi między innymi to, że nadużywał swej władzy w celu uprzywilejowania żydów w państwie W. Brytanji (p. str. 15 — 19).

To prawda, że ich bronił nieraz w parlamencie, nie jednak więcej nie dał im nad to, co już sami rodowici politycy angielscy im wówczas przyznawali (lord John Russel i t. p.), którzy nie gorzej walczyli o ich prawa od samego Disraeli'ego. I pod tym więc względem nie przesadzał w solidaryzowaniu się z ambicjami przyziemnymi swoich współplemnieńców, chociaż o ich wyższości rasowej nieraz przekonywał członków arystokracji angielskiej. Wchodziło to jednak, jak mi się zdaje, w zakres jego historjografji marzycielskiej, o ile nie było paradoksem.

Z tych więc powodów, pomijając przygody i niezwykłe koleje życia Disraeli'ego, nazwałem żywot jego „przedziwnym“, rozwijał się bowiem samodzielnie, w wyjątkowej niezależności od ducha i kultury jego rasy. (Jakże to życie innymi idzie drogami, niż życie tych wszystkich międzynarodowych lordów Reading'ów, Montagu, Sirów Sassoon'ów, Samuel'ów i t. p., którzy dzisiaj, po lordzie Beaconsfieldzie, panują w Anglii).

Różnił się Disraeli głęboko i od rodowitych Anglików, nie zawsze był przez nich rozumiany, nie podążał za jego fantazjami, marzycielstwem, polotem wyobraźni, wreszcie za żywotnością serca, do śmierci młodego, rojącego wciąż rzeczy niezwykłe: zdumiewał Anglików, zbijał z tropu, drażnił — może więc dlatego panował nad nimi.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Do najpożądanych i najniecierpliwiej wyglądanych nowości wydawniczych należą bezwątpienia opuszczające kolejno prasę tomy dzieł Stanisława Wyspiańskiego w wydawnictwie zbiorowym „Biblioteki Polskiej“. Uczyć sobie tylko wypada, aby to chwalebne przedsięwzięcie wydawnicze doprowadzono jaknajprędzej i jaknajszczęśliwiej do końca. Obecne tempo publikacji nie jest zadowalające. Więcej niż rok czekać trzeba było, aż po tomie trzecim ukaże się czwarty, który ujrzelismy dopiero tuż przed Gwiazdką tegoroczną. Objętością pobit on swych poprzedników i liczy stron bezmała tysiąc — ściślej: CLXIV + 688. Przyniósł trzy arcydzieła poety: „Wesele“, „Wyzwolenie“ i „Akropolis“, objaśnione przez prof. Sinkę i uzupełnione warjantami tekstu, podane do druku i opracowane przez Adama Chmiela. Zalety i wady tego wydawnictwa roztrząsano już z okazji ukazania się pierwszych tomów; to pewne, że sama publikacja dzieł Wyspiańskiego jest faktem nad wyraz radosnym. Tutaj przy powitaniu tomu czwartego chcemy zrobić jedną tylko uwagę. Wstępy do dramatów wyszły z pod pióra prof. Sinki. Jak wia-

domo tym, którzy już korzystali z poprzednich tomów, są to wstępy, które rzeczywiście objaśniają, rzeczywiście pomagają przy lekturze, bo (naturalnie z wyjątkiem niezbędnych informacji dodatkowych, jak o genezie utworów, i t. p.) naogół nie wybiegają daleko poza objaśnienia tekstualne. Uwydatnić łączność scen, bieg akcji i t. d. stara się p. Sinko, posługując się, o ile możliwości, słowami samego Wyspiańskiego, usiłując jaknajszerszej oprzeć się o odpowiednio zestawione cytaty, jaknajmniej pola zostawić czczym domysłom. Taksamo godzien jest naszego całkowitego zaufania, gdy, w odpowiednim miejscu, dla objaśnienia Wyspiańskiego wspomina jakiś renesansowy obraz, grecką rzeźbę, lub cytaty z Homera. Ale wychodząc poza ten obszar badań „ściśłych“, robi czasem propozycję zaskakującą. Znane są refleksje Konrada w rozmowie z Maską 12-tą: „Nie pozwolę prostytuować naszych kobiet... My nie powinniśmy pozwolić naszym kobietom obcym, tym obcym, co siedzą wśród nas... Oto przedewszystkiem powinniśmy uszanować krew narodu. I nie dać jej marnować. Nie pozwolę marnować krwi narodu... Nie mogę ścierpieć i znosić i słuchać, że kobieta Polka przeistacza dom męża obcego i czyni zeń dom polski. Jeżeli tak czyni, to czyni podłość...“, która prędzej czy później odezwie się w charakterze potomstwa... Ale winniśmy przeciwdziałać i nie pozwolić marnować naszej krwi i naszych dziewcząt, tak dobrze obcym, jak swoim. Tego nie powinniśmy, a to tylko może ziościć... Polski rząd. Bo żaden inny naszych interesów, interesów naszej krwi bronić nie będzie“. Te myśli Konrada wydają się prof. Sinki tak absurdalne, że nie widzi możliwości wytłumaczyć ich inaczej, jak... hipotezą alegorji i to mało poetyckiej, bo przymusowej, koniecznej jakoby ze względu na cenzurę austriacką. W istocie chodziłoby rzekomo o... służbę wojskową mężczyzn w armjach zaborców!!! Gdzież tu ścisłość naukowa profesora? I co za dziwne wrażenie, że kwestja małżeństw mieszanych, małżeństw dziewcząt polskich z tymi obcymi, co „siedzą wśród nas“, nie stanowi niebezpieczeństwa dla narodu i niegodna jest pióra poety — publicysty! Czy to rzeczywiście jest rzecz absurdalna? Czy nie łatwiej zauważyć absurdalność wykładni alegorycznej?... „nie pozwolę marnować naszej krwi i naszych dziewcząt, tak dobrze obcym, jak swoim“. Podstawmy zamiast „dziewcząt“ — „synów“, tak jak to proponuje prof. Sinko — i cóż za bezsens wyniknie!

\*

Pod koniec roku 1927 wyroili się poeci na podziw liczni. Wymienimy zbiorki nadesłane: Balińskiego Stan. Wieczór na Wschodzie, Birkenmajera Józefa Poszumy Bajkału, Grodzieńskiej-Łucznikowej Promyki, Horzelskiego Tad. Hieroglif słoneczny, Hulewicza Wit. Sonaty instrumentalne, Iłakowiczówny Kazimierzy Zwierciadło nocy, Łopalewskiego Tad. Piękna podróż, Pawlikowskiej Marji Cisza leśna, Staffa Leopolda Ucho igielne, Szpyrkówny M. H. Poezje, Zdziarskiego Stan. W pożarach krwi (wyd. II). Z tych pięć wyszło u Hoesicka, trzy u Martkowicza, jeden u Zwolińskiego w Zakopanem. Jeden zbiorek wydany w Pułtsku. (Grodzieńskiej). A więc ogniskiem poezji wydają się być Warszawa. Dwu autorów (Hulewicz, Łopalewski) pisało w Wilnie. Z dzielnic zachodnich niema nikogo. Należałoby się zająć bibliografją nowej poezji, segregacją i oceną. Ciekawy to materiał do badań nad duszą narodu.

\*

Dr. Stefan Dąbrowski, profesor chemji fizjologicznej na uniwersytecie poznańskim, ogłosił jako osobną broszurę swój wykład inauguracyjny na otwarcie roku szkol. 1927/8 p. t. „Zwrot ku poglądom humoralnym w fizjologii i medycynie“. Aczkolwiek rzecz napisana jest przedewszystkiem dla specjalistów-przyrodników, zasługuje na uwagę także ze strony szerszych kół inteligencji, jako znamienity przykład odwrotu od teoryj materialistycznych w przyrodoznawstwie, stwierdzenia, że „w ustroju żywym poza układem sił fizycznych i chemicznych działa układ sił innych, które nie mogą być wyrażone w równaniach newtonowskich, gdzie czas jest bez znaku, a przeszłość nie różni się od przyszłości“.

\*

Nakładem X. X. Pallotynów wydana została broszura b. posłanki Wandy Ładzińskiej p. t. „Ratujmy rodzinę!“ Zawiera ona projekt ustawy o karach za porzucenie rodziny t. j. „samowolne nie wykonanie zobowiązań natury materialnej, powodujące niemożność normalnego życia rodziny wśród danego środowiska“. Osoby nie wypłacające rodzinie alimentów, do których zobowiązane zostały wyrokiem sądowym, powinny być, według tego projektu, karane grzywną, więzieniem oraz pozbawieniem biernego i czynnego prawa wyborczego do ciał przedstawicielskich państwowych i samorządowych. Winni przestępstwa porzucenia rodziny mają być pociągani do odpowiedzialności nietylko w prywatnym oskarżeniu, ale i przez prokuratora. Do projektu ustawy dołączone zostało starannie opracowane uzasadnienie, wskazujące na konieczność skuteczniejszej, niż dotychczas, ochrony przez ustawodawcę instytucji rodziny, oraz przedstawiające w sposób treściwy przepisy, jakie pod tym względem zawierają prawodaw-



stwa szeregu państw europejskich (między innymi przytoczona jest ustawa francuska w przedmiocie porzucenia rodziny z dn. 10 lutego 1924 r.)

Koło Polonistów słuchaczy Uniw. Warszawskiego wydało z powodu 10-cia koła „Roznik”, zawierający kilkanaście prac omawiających szereg zjawisk literackich od „Sofiówki” Trembeckiego aż do Prusa. Na szczególne wyróżnienie zasługuje praca ś. p. Leona Gallego, o charakterze zresztą nawskroś historycznym, odtwarzająca tło historyczne „Pana Tadeusza”, praca gruntowna i interesująca. P. R. Blüth słusznie prostuje błędną wersję, jakoby w „Pomniku Piotra” Mickiewicz stawił obok siebie Puszkina. Oczywiście ma to być Rylejew. Zbyteczne są tylko dalsze hipotezy p. Blütha, mocno naciągane. Subtelna i dokładna „Analiza wyobraźni twórczej Goszczyńskiego” daje nam dr. Suchodolski. Prace p. p. Biernackiej (o „Sofiówce”), Jabłońskiej-Erdmanowej (o wpływach oświecenia wśród młodzieży wileńskiej przed filomatami), d-ra Furmanika (o „Sonetach” Mickiewicza), dr. Chrzanowskiej (o tragizmie „Wallenroda”), Kruszewskiej (o tłumaczeniach Byrona przez Odyńca) wreszcie Klingerowej szkic uogólniający o humorze Prusa — dopełniają całości. Książkę (sporą o 230 str.) zamyka zbiór listów Goszczyńskiego do Cieszkowskiego z lat 1845—1866. Usunięto z nich, niestety, ciekawe szczegóły o stosunku p. Elizy Krasieńskiej do Delfiny Potockiej. Z przykrością należy stwierdzić nader niedbałą korektę, zwłaszcza w artykule p. Gallego, a także kilka błędów językowych, szczególnie przy odmiianie nazwisk rosyjskich, n. p. Romanowych, Bestużewych; po polsku winno być Romanowów i t. d.)

Aforyzm Woltera, że wszystkie rodzaje w literaturze są dobre, prócz nudnego, sprawdza się na powieści p. Jalu Kurka „S. O. S. (zbaw nasze dusze)”, wydanej w Krakowie przez wydawnictwo „Zwrotnicy”. Nie pomaga książce jej pseudofantastyczna forma, z powodu braku twórczej fantazji autora, ani jej również nieoryginalna myśl przewodnia, pogarda społeczeństwa i jego cywilizacji. Akcji, plastyce, postaciom i dialogom brak życia i dowcipu. Brak latarni, przy której możnaby dojrzeć, ku czemu dążyła powieść a ku czemu kieruje Zwrotnica. Autor szczydzi z nauki, pracy, poezji i polityki, jednak szkoda, że czyni to bez talentu. Najsłabsze zestawienia brukowych plotek i rzekomych wiadomości naukowych, pomieszone w groch z kapustą nazwiska Chaplina, Ossendowskiego, Rabindranatha Tagore, Flammariona i Poli Negri brzmią bezdźwięcznie, a wszelkie, za cenę wyzbycia się zdrowego rozsądku i artystycznego sensu, wysiłki zadziwnienia czytelnika pozostają bez rezultatu.

Kto jak kto, ale p. Józef Birkenmajer zasłużył sobie na wdzięczność czytelników. Tłumaczy wciąż z angielskiego... ale to nic jeszcze! Małoż niepowołanych piór tłumaczy z angielskiego? P. Birkenmajer pierwszy okazał doskonały smak w doborze przekładów; przekłada rzeczy wyborne, które rzeczywiście oddawna przyswoić należało naszej literaturze. Toż on pierwszy dał nam integralny przekład Kiplingowskiego „Kima”, o całe niebo przytem lepszy od poprzednich. On pierwszy z gustem, pietyzmem i artyzmem tłumaczy Stevensona. Nie tak dawno spolszczył rozkoszną „Wyspę Skarbów” („*Treasure Island*”), a oto znów podaje nam do ręki najśliczniejszą może opowieść Stevensona; „Porwanego za młodu” („*Kidnapped*”) — prawdziwie ujmujące arcydziełko. Przygody Dawida Balfoura na okręcie, na skale morskiej Earraid przy wybrzeżach Szkocji, ucieczka przez szkielety wrzosowiska, przyczajenia po leśnych rowach... powieść awanturyczna, a kreślona z dystynkcją artysty, skromna, a rycerska i wytworna. Czytając, cały czas mamy wrażenie, że widzimy zbliżka, wyraźnie i przyjemnie, — tak dekoracyjnie rośl rzeczą swą Stevenson w wyobraźni. Akcja i fantazja — to dwa bratnie żywioły jego twórczości. Niedarmo książka wyszła w serji „Świat podróży i przygód” (Poznań, nakładem „Wydawnictwa Polskiego”). Ale coś jeszcze przydaje wdzięku tej powieści: oto powietrze jej delikatnie opalizuje kolorami historii. To zarazem świetna przez delikatność stylu i kolorytu powieść historyczna z w. XVIII! Nie dziw, że Stevenson jest w Anglii tak wysoko ceniony i tak bardzo kochany. To za kult ducha rycerskiego, za miłość pejzażu ojczyzny, za prawidłowy strukturę moralną. To jakoby miniaturowy angielski Sienkiewicz.

Czekamy teraz na dalszy ciąg tej powieści — może równie dobry! — na „Catrionę”.

„Babbitt” — to ni mniej ni więcej, tylko najbardziej dziś znana powieść amerykańska na kuli ziemskiej, powieść, którą witamy w tym roku także w przekładzie polskim. Nie lekceważmy tych trzech tomików „Biblijoteki groszowej” (ostatnio wydanych, jako tom pojedynczy) — bo to coś jakby amerykańska „Trylogja”, jakby epepea. Opowiadanie o życiu i myślach Babbitta, agenta handlu nieruchomości w Zenith: — o tem; jak się golił, jak lokował samochód w garażu, jak przy uroczystych okazjach potajemnie kupował flaszkę alkoholu, jak nudził się

z żoną, jak się duchowo rozpręzał w wesołej kompanji braci-masonów, jak robił interesy na klientach, jak był typowym Amerykaninem z Zenith. I tak, czytając, zobaczymy Atlantyk odległości między cywilizacją polską, a dzisiejszą amerykańską.

## Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Księgarnia Plon'a wydała w przekładzie na francuski „Wspomnienia” Henry Wickhama Steed'a, jednego z wybitniejszych publicystów angielskich kilkadziesiąt lat ostatnich. („*Mes Souvenirs*”). Tom I-szy od 1892 r. — 1914, T. 2-gi 1914—1922 r. Str. 375 i 381. „Wspomnienia” Steed'a, obejmujące trzydziestoletni okres życia politycznego Europy, barwnie odtwarzają to życie w różnych jej krajach i dają ogólny pogląd na zdarzenia, które doprowadziły do Wielkiej Wojny, zarówno jak i na nią samą: Autor „Wspomnień”, w ciągu długoletniej swojej pracy dziennikarskiej na stanowisku referenta politycznego „*Times'a*” tak się dał poznać światu politycznemu Europy, że podczas wojny, mógł docierać z łatwością do sfer wpływowych, mógł obserwować zbliżka ludzi, kierujących polityką europejską, patrzeć zbliżka na ich działalność. Jak mało kto przytem, studując pilnie przez szereg lat politykę Europy, był wtajemniczony w jej sprężynę, znał wybornie jej rozmaite dążenia i cele, jej plany i zamiary.

Wszystko to podnosi wagę „Wspomnień” jako źródła do poznania przyczyn oraz przebiegu wielkiej katastrofy dziejowej. Wiele tu rzeczy ciekawych i doniosłych znajdując dla siebie jej historycy przyszli, wiele nauki mogą stąd wynieść pisarze polityczni. Nauką znowuż dla dziennikarzy jest sam żywot Steed'a, to jak rozumiał on obowiązki swego zawodu. Opowiada nam Steed, że miał naturalną skłonność do dziennikarstwa i że wszedł na tą drogę bez wahania, poświęcając ponętniejsze widoki kariery jaka się przed nim otwierała. O zawodzie obranym z przekonania miał wysokie wyobrażenie i przygotowywał się do niego, jak do *sui generis* kapłaństwa. Przewędrował przez całą Europę, poznał dokładnie stosunki polityczne jej krajów, i — z biegiem lat, badając wciąż zagadnienia polityczne swego czasu, pełniąc rzetelne obowiązki zawodowe, stał się wkońcu nie tylko wybitną osobistością świata dziennikarskiego, lecz wogóle osobistością znaną powszechnie, o wpływowym stanowisku w świecie politycznym. Nigdy nie wychodził z roli dziennikarza, nigdy nie porzucał swego zawodu, szczylił się nim zawsze, a dziś wyznaje, że większego zadowolenia nie dałby mu żaden inny zawód w świecie. Najsumienniejszy nawet dziennikarz ma swoje słabe strony, znajdujemy ich odbicie i we „wspomnieniach” Steed'a. Znadto nieraz ich autor popisuje się swoimi wysokimi stosunkami, przechwala się nieco swoimi wpływami i oddziaływaniem na bieg spraw politycznych. Moglibyśmy mu również wytknąć — jako rzetelnemu referentowi politycznemu — że jakoś nie spostrzegł znaczenia kwestji polskiej w okresie wielkiej wojny, gdyż o tem w obszernych „wspomnieniach” prawie nie mówi, podczas gdy przejmując się sprawami Czechosłowaków i Jugosłowian, którym poświęca wiele stron. Nie tak dawno Steed bawił w wolnej Polsce, może więc zainteresował się jej życiem: pozwala to mieć nadzieję, że błąd swój w stosunku do nas kiedyś naprawi.

Tegoroczna nagroda Goncourt'owa przypada p. Mauryemu Bédel za jego wesołą i ironiczną powieść p. t. „*Jérôme, 60° Latitude Nord*” (Nouvelle Revue Française), w której przedstawia on przygody młodego Francuza, odkrywającego nie tylko Norwegię, ale zwłaszcza jej zwyczaje, a przede wszystkim obyczaje tamtejszych kobiet. Jérôme zaręcza się nawet z młodszą panną Uni Hansen, ale ze zdziwieniem dowiaduje się, iż w Norwegji można się równie łatwo rozręczyć, a nawet zerwać związki małżeńskie i kolejno wypróbować kilku mężów, a z poprzednimi utrzymywać zresztą potem jaknajlepsze stosunki przyjacielskie. Młodzież tamtejsza przywiązuje też do tego stanu mniejsze znaczenie, aniżeli n. p. do sportów. Te wszystkie rewelacje tak zdumiewają młodego Francuza, iż postanawia jaknajprędzej powrócić do Francji. Powieść ta, lekko i barwnie napisana, spotkała się z bardzo dobrym przyjęciem prasy. Niektórzy tylko pisarze francuscy zaprotestowali przeciwko takiemu przedstawieniu „obyczajności” sympatycznej Norwegji, bojąc się, że uswięcenie talentu młodego laureata przez Jury Goncourt'ow ściągnie jakieś komplikacje „dyplomatyczne”, a tymczasem książka ta wywołała w samej Norwegji ogólne zainteresowanie, a bynajmniej nie zgorzienie. Jest w niej bowiem dużo subtelnej ironji na temat: co kraj to obyczaj.

Nakładem księgarni „Littorio” w Rzymie wydana została niezwykle interesująca książka Maxa di Collato p. t. „*L'Italie fasciste*”. Jest to, poza mowami Mussoliniego, najpożyteczniejsza z książek, wydanych nie po włosku, jeśli chodzi o zapoznanie się z ideami i duchem faszyzmu. P. di Collato podaje szereg cennych wiadomości o reformach, przeprowadzonych przez faszyzm w przeciągu pięciolecia, między innymi omawiając szczegółowo przekształcenie Włoch na t. zw. „państwo korporacyj-

cyjne". Nawet pewien ton megalomanji narodowej, bijący z kart książki p. di Collato zasługuje na uwagę z tego względu, że pozwala orientować się w poglądach i nastrojach, jakie dziś panują powszechnie we Włoszech. „Faszyzm“ — według nader znamiennych słów autora — „jest jedną z form cywilizacji rzymskiej, podobnie jak starożytne cesarstwo rzymskie, Kościół i odrodzenie... Faszyzm podjął imperjalną i religijną koncepcję Rzymu, ażeby przeciwstawić ją złu, które triumfuje. Tem złem jest rola kierownicza, jaką współczesne zmaterializowane społeczeństwa przypisują pieniądzwowi“.

W serji „*Italia Nuova*“ (nakład N. Zanicheli w Bolonji) wydana została interesująca książka p. Angelo Meriotti p. t. „*L'Industria del forestiero in Italia*“, poświęcona gospodarczej stronie zagadnienia turystyki. P. Meriotti jest dyrektorem E. N. I. T. (*Ente Nazionale Industrie Turistiche*) jednocześnie zaś wykłada specjalnie ekonomję turystyki na uniwersytecie rzymskim. Jak wiadomo, we włoskim bilansie płatniczym dochody z turystyki zagranicznej odgrywają nadzwyczaj doniosłą rolę, umożliwiając wyrównanie wielkich corocznych deficytów bilansu handlowego (np. w r. 1925 deficyt ten wynosił zgórá 7.896 milionów lirów). Nic też dziwnego, że gdy chodzi o kwestję wzmoczenia turystyki zagranicznej, Włochy przedują zarówno pod względem organizacyjnym jak naukowym, i narody, które zaczynają dopiero w tej dziedzinie prace przygotowawcze, wiele mogą skorzystać z ich doświadczeń. Praca p. Meriottiego dzieli się następujące działy: część ogólna, propaganda, turystyczne wykształcenie zawodowe, (sp. cjalne szkoły dla hotelarzy, agentów biur podróźniczych i t. d.) polityka hotelarska, komunikacje i transport, organizacja turystyki w ścisłym znaczeniu, ważność polityki turystycznej dla Włoch.

Sinclair Lewis, wieszcz „*Babbitta*“, ma już za sobą jakiś dziesiątek powieści, lecz sławę zdobył dopiero parę laty „*Ulicą Główną*“ i „*Babbittem*“. Wtedy właśnie okrzyknięto go piewą Ameryki współczesnej, najznakomitszym interpretatorem psychiki przeciętnego Amerykanina, tym prawdziwym pisarzem amerykańskim, na jakiego oddawna napróżno czekano.

Bo też dawniejsze generacje piszących Amerykan, byli to jednak ludzie typu duchowego mniejwięcej europejskiego. Popularni u nas pisarze amerykańscy: od Edgera Poe do Bret Harte'a i Marka Twaina, to naogół produkty cywilizacji pioniersko-rolniczej, bynajmniej nie kupieckiej i nie industrialistycznej. Ameryka w ich utworach wygląda od biedy, jak jeszcze jeden kraj europejski. Schemat uczuć, przywiązanie do ziemi, do przyrody, liryzm — wszystko to w starym stylu.

Lecz sprawa wygląda tak, jakby w miarę krzepnięcia i wyodrębniania się samoistnej cywilizacji amerykańskiej, poeci ginęli w Ameryce razem z bizonami. Oddawna nie zabłysnął tam żaden wielki talent poetycki i (o ile o takich rzeczach wogóle można sądzić z prognostyków) — nieprędko chyba zabłyśnie.

Otóż oryginalność Lewisa polega na tem, że odrzuca on wszelkie poetyzowanie. Nie nastawia się na poetycki kął widzenia. Studjuje natomiast zawzięcie amerykańską cywilizację. To jego główne zainteresowanie. Beletrysta — socjolog. Cały wysiłek swego niepospolitego talentu łoży w odtworzenie prawdy życia, lecz prawda ta — to dla niego przedewszystkiem prawda cywilizacji.

Tę przewagę zainteresowań socjologicznych niewątpliwie tłumaczyć należy tem, że duch środowiska, cywilizacja rodzima — to dla Amerykanina rzeczy ogromnie realne, bardzo uchwytnie. Widzi potęgę ich działania, bo ma przed oczami serje ludzi tak standardyzowanych, jak przemysł w produkcji masowej standardyzuje samochody, albo maszyny do szycia. W tych warunkach zaostrza się w sposób naturalny zmysł socjologiczny obserwatora.

Trudno znaleźć dla Lewisa odpowiednik wśród naszych pisarzy. Poniekąd nasuwałoby się porównanie z Kadenem. „*Generał Barcz*“ — to prawdziwie cenny dokument (w przeciwieństwie do takich bezwartościowych, zrodzonych li tylko z atramentu i snobizmu literackiego utworów, jak „*Miasto mojej matki*“ oraz „*W cieniu zapomnianej olszyny*“). Prawda „*Barcza*“ zarezerwuje ten fragment twórczości Kadena dla potomności. Ale prawda to popsuła pozerstwem i manierą poetyzowania *à rebours*, a przytem ileż słabszy u twórcy „*Barcza*“ zmysł socjologiczny... Bez niewłaściwej megalomanji narodowej stwierdzimy, że Kaden ani się umywa do Lewisa.

A zresztą Lewis to pisarz rozkładowy. Rozkłada i nicuje cywilizację purytańsko-protestancką, ale tylko po to, aby zrobić miejsce dla ideałów wolnomyślnych, „postępowych“ i liberalnych. Ostatnią powieść swoją, „*Elmer Gantry*“, która ze względu na tendencje antychrześcijańskie wywołała niesłychaną burzę w opinji amerykańskiej, dedykował przywódcy wolnomyślnego obozu i najaktywniejszemu Żydowi w literaturze amerykańskiej, H. L. Menckeniowi.

Jenerał L u d e n o r f f wydał świeżo książkę p. t. „*Zniszczenie Masonerji przez odsłonięcie jej tajemnic*“ („*Vernichtung*

*der Freimaurerei durch Enthüllung ihrer Geheimnisse*“, München, Fortschrittliche Buchh.).

Prasa antyżydowska zachodniej Europy porusza często zagadnienie, czy istnieje tajny międzynarodowy rząd żydowski, któremu podlegają Żydzi całego świata. Otóż jenerał Lüdendorff wypowiada w swojej książce twierdzenie, że łoże masoniów są posłuszne rozkazom owej międzynarodówki żydowskiej, która chce rozciągnąć władztwo Żydów nad całym światem.

Dr. Hergeth (Graz, Heimatverlag) wydał świetnie napisaną książkę „*Z powojennej działalności Masonów i Żydów w Austrii*“. Autor zajmuje się specjalnie wpływem i działalnością masonerji w najrozmaitszych związkach kulturalnych i politycznych, t. j. związkach „profanów“.

## TEATR

### MORALNOŚĆ PANI DULSKIEJ

W ZNOWIONA w teatrze Polskim komedia Gabrjeli Zapolskiej „*Moralność Pani Dulskiej*“ okazała się dziełem zupełnie świeżem. Dzięki Zapolskiej wiemy, co to jest „dulszczyzna“. Sztuka dokonała tego odkrycia w czasach naturalizmu, kiedy pisarzom zależało na odślanianiu prawdy. Robiło to nawet przykrość czytelnikom lub publiczności w teatrze i na wystawach sztuki plastycznej, nie mniej poruszano coś z rzeczywistości, otwierano na coś oczy. Są to dla ludzi dzisiejszych czasy legendarne, owe czasy, kiedy było kategoryczne Tak i Nie, Brzydkie i Piękne, Dobre i Złe. Zapewne, duch krytyki i protestu sprawiał, że może więcej akcentowane było przeczenie, brzydota i zło, niż afirmacja i dodatniość, ale wiedziano, o jakie wartości chodziło. Trzeba się przypatrzeć pani Dulskiej, jak ta Zapolska, nie mająca zresztą pretensji do tytułu wychowawczyni, wrażliwa była na braki w kulturze moralnej. Satyra Zapolskiej miała w jej naturalizmie artystycznym niezawodne ostrze. Operacja, której dokonała na małym światku ogniska Dulskiej, uderza nas swoją precyzyjnością i bezwzględnością, a dlatego robi takie wrażenie, że późniejsi autorzy odzwyczaili nas od kryterjów brzydoty i piękna w dziedzinie etyki. Kilkakrotnie w tem miejscu — może do uprzykrzenia — robiłem z tego powodu wyrzut komedjopisarzom, że te kryterja są im obce, że nie widać w ich dziełach, aby sami mieli ustalony dla siebie pogląd na zjawiska moralne.

Zbrodnia, grzech, słabość ludzka są wieczne, ale stają się nieszczęściem społecznym, gdy braknie w społeczeństwie zmysłu ich rozpoznawania, gdy owszem pisarze dumni stają się z tego, że dla nich są to zjawiska względne. Ze wszystkich postaci „kołtuństwa“ Zapolska najjaskrawiej przedstawiła połowiczność kultury w dziedzinie etyki i na tem właśnie polega wewnętrzna wartość komedji. Cywilizacja zachodnia od tego zaczyna dzieło człowieka, że wytwarza w nim honorowość etyczną, która polega nie na poprawności form, ale na smaku czystości zasad. W życiu publicznym temu postulatowi kultury odpowiada poczucie praworządności, o której się już nie dyskutuje, w prywatnym zaś godność osobista, nie pozwalająca na kłamstwo i płaskość. Kultura typu rzymskiego tak hodowała ludzi „dystygowanych“. W Polsce połączona jest ta uprawa charakterów z obroną od wpływów cywilizacji niższego typu, których niższość poznaje się właśnie po kołtuństwie moralnym, po owej „dulszczyźnie“. Bywa ona śmieszna na poziomie życia prywatnego, ale staje się zjawiskiem tragicznym, gdy zapanuje nad życiem publicznym.

Pani Dulska jako tolerantka nieprawości w kółku domowym jest prototypem wszystkich ludzi bez smaku etycznego, budujących na nieprawości życie publiczne.

W światku p. Dulskiej pokazano nam od zarodka, jak się lęgną zbrodnie w atmosferze tego kołtuństwa

etycznego. Świątek ten trzyma się dyktaturą Dulskiej, bo jest już odzwyczajony od dobrowolności moralnej; ale to, co w tej formie się trzyma, to już tylko kał, który wkrótce, gdy rządy Dulskiej pękną, rozleje się, niosąc zarazę na świat.

Niepospolity talent Zapolskiej ujawnił się w tej komedji w całej pełni. Rzecz pisana z furją, gwałtownymi rysami, skierowanymi na kontur idei naczelnej utworu. Stąd niezmierna wypukłość obrazu, aż dotkliwa dla oczu przywykłych do świateł dyskretnych. Słusznie zauważono, że sztuka Zapolskiej przerasta wymagania rodzajowości, jako obrazek pewnego czasu i miejsca. I reżyser teatru Polskiego to czuł, skoro barwę lokalną Lwowa zastąpił krakowską. Można by pójść krok dalej i grać ją, jako rzecz nową w kostjumach współczesnych, aby nie myślano, że koftuństwa już niema, albo że zostało we Lwowie.

Z. W.

## JASEŁKA

**Z**DARZYŁO mi się widzieć w Poznaniu jasełka Zegadłowicza, wystawione w miejscowym teatrze Polskim. Pamiętam jasełka L. Rydla grane we Lwowie, potem Or-Ota w Warszawie, słyszałem też o pastorałce L. S. Schillera (obecnie też wystawionej w innym teatrze poznańskim). U Zegadłowicza jest to dla ducha czasu charakterystyczne, że literacką stylizację przerasta pierwiastek religijny. Ułożył widowisko poeta do głębi przejęty świętością tematu, a wychowany w tradycjach kolendy. Niezmiernie podniosłe i dramatyczne są sceny, w których wyraża pragnienie ludu polskiego, aby Chrystus z nim pozostał. W scenie końcowej Matka Boska ulega gorącości serc i występując z obrazka szopkowego, wkracza między lud na proscenium z Dzieciątkiem na ręku. Tłum formuje się w procesję Bożego Ciała z baldachimem, dzwonekami, kwiatami sianami przez dzieci i pieśnią *unisono*.

Jasełka Zegadłowicza umiejętnie podzielone na kondygnacje, odbywają się w kilku planach, poczynając od chórów anielskich w górze, a kończąc na pasterzach, realistycznie traktowanych, którym całe zjawisko ukazuje się we śnie. W interludjach sceny Heroda traktowane dramatycznie mają wiele oryginalnego pogłębienia poetyckiego. W scenach hołdu polskiego do najbardziej wzruszających i nowych należy pokłon niosących dary rybaków z Pomorza.

Dzienniki wileńskie doniosły, że utalentowany poeta Tadeusz Łopalewski wystawił w Reducie swoją Pastorałkę. Nie mogłem jednak zrozumieć, dlaczego p. Czesław Jankowski w „Słowie“ z taką złośliwą, prawie młodzieńczą zaczepnością, a bez odpowiednich motywów, napisał z tego widowiska sprawozdanie. Wogóle nie zrozumiał jest stan irytacji na takim widowisku. Łącząc się w uczuciach z powszechnością narodową więcej zyskujemy „na górze“ swojej, niż zyskuje dół ludowy, gdy do niego idziemy z formułą bylejakiej powszechności politycznej (choćby równej, bezpośredniej i tajnej), która, niestety, nieraz więcej dzieli, niż łączy. Za to samo należy się pisarzom wdzięczność, że szukają wspólnego podłoża, aby dusza ludzka przynajmniej raz w rok koło świąt oczyściła się z pleśni życia jednym powszechnym pragnieniem świętości.

Z. W.

Teatr Narodowy wystawił nową komedję Włodzimierza Perzyńskiego, nie zaszczylił jednak „Myśli Narodowej“ zaproszeniem na premierę, dlatego sprawozdania nie dajemy.

\*  
Jak słyhać teatr Polski w Warszawie wystawi wkrótce „Don Kiszota“ St. Miłaszewskiego i komedję Kiedrzyńskiego „Kłamstwa miłości“. Podobno Ferd. Goethe wykończył tragedję na tle dziejów Samuela Zborowskiego.

\*  
Emil Zegadłowicz wystawi tej zimy w teatrze Polskim w Poznaniu nowy dramat „Wigilja“.

## NA MARGINESIE

Masonerja już z odsłoniętą przyłbicą prowadzi brygady swoje na obóz, który pod hasłem obrony narodu i Kościoła szereguje wiernych. Odezwe biskupów polskich prasa masonska okrzyczyła jako demagogię (Epoka), „szkodliwą dla państwa“ (Naprzód), grożąc wypowiedzeniem konkordatu i oddzieleniem kościoła od państwa. Mamy w pamięci, jak krzyczano w tej „miarodajnej“ prasie: „Precz z władztwem czarnych sutan w szkole i urzędzie, w obyczajach narodu — w małżeństwie i polityce!“ (Głos Prawdy). A oto teraz odbył się we Lwowie zjazd rabinów. Dzienniki żydowskie (Nowy Dziennik) podnoszą okazaną rabinom uprzejmość. Podejmowano ich ostentacyjnie. Rabini korzystali, a było ich 124, z bezpłatnego przejazdu nadzwyczajnym pociągiem pośpiesznym. Zjazd w rezolucji wyraził „pełne zaufanie rządowi, w szczególności zamierzeniom marszałka Piłsudskiego, wzywając społeczeństwo żydowskie do bezwzględnej popierania tego rządu“. Pokazuje się, że można osiągnąć harmonję w stosunku z przedstawicielami wyznań.

\*  
Znany pisarz Edward Ligocki postanowił ogłosić w „Głosie Narodu“ list otwarty do ministra sprawiedliwości p. Meysztowicza z zapytaniem, dlaczego kazał umorzyć sprawę o oszczerstwo, wytoczoną przez niego redakcji „Głosu Prawdy“. Sprawa była już w śledztwie trzy lata, sprawa ważna, chodzi bowiem o cześć słynnego pisarza, którego pomówiono o szpiegostwo i inne zbrodnie. „Głos Narodu“ nie wydfukował całego listu w obawie dekretu prasowego, który nie pozwala krytykować zarządzeń władzy, ale redakcja kończy apelem do ministra, że przecież — spodziewać się można — chyba „uzna za stosowne wyjaśnić, jakie były powody tego umorzenia“, które nie pozwala napadniętemu się bronić. Nadzieję swoją dziennik opiera na analogji, że „zagranicą przyjęło się“, iż zapytanie wybitnego pisarza jest uwzględniane. Czy nie straciliśmy już prawa do analogji?

\*  
Znajdujemy się w okresie historycznym, kiedy wiele trzeba myśleć i mówić o ustroju państwa, formach rządu, idei prawa, nawet zwykłej etyki. I to całkiem na nowo, całkiem od postaw, od elementarza. To też zabawnie brzmią w tej atmosferze werbalistyczne ideały sanatorów.

- A więc, jakaż forma rządu?
- Cezaryzm demokratyczny.
- A cóż to jest?
- Bonapartyzm.

Był taki literat, który zrazu przybrał imię Napoleona, ale wydało mu się zbyt pospolite, więc w pseudonimie zmienił je na „Cezar“. Naród jednak nie może sztukować się pseudonimami, musi wejść w siebie, czem ma być istotnie jako państwo.

\*  
„Głos Prawdy“, jedyny bodaj dziennik w Warszawie, który nie zdobył się na najłagodniejsze słówko potępienia wobec zbójceckich napadów na b. ministra Zdziechowskiego, red. Mostowicza, Adolfa Nowaczyńskiego, pisał dnia 8 b. m.: „Endecja jest szkołą zbrodni, moralnego pałkarstwa...“ i t. d.

O pałkarstwie... fizycznym i tym razem nie wspomniano uprzejmie ani słowem.

BŁĘDY DRUKU. W nr. 1 z r. b. w utworze M. Wolskiej na str. 10 w w. 1 powinno być „kłańcach“ (nie krańcach), a w przedostatnim zam. „spokojnie“ powinno być „spokojne“. W artykule „O sąd na plagjatorach“ należy poprawić: Na str. 13 szpalta 1 wiersz 19 zamiast „znał cię“ powinno być „nosił się“, tamże w. 5 od dołu zam. „niecny“ powinno być „naiwny“, tamże szp. 2 w. 34 zam. „wszystkie“ powinno być „wysokie“, a w. 20 od dołu zam. „godne“ powinno być „godność“.

# SALETRE CHILIJSKĄ

KUPUJCIE W NAJBLIŻSZYM

# SYNDYKACIE ROLNICZYM

ZRZESZONYM W SPÓŁCE AKCYJNEJ

„KOOPROLNA”

KOPERNIKA 30

# GAZETA WARSZAWSKA

ZAŁOŻONA W R. 1774.

Redakcja i Admin. — Warszawa, Zgoda 5.  
Konto P. K. O. Nr. 104.

WIELKI DZIENNIK

polityczny, gospodarczy, społeczny i literacki  
kierunku narodowego

154-ty rok istnienia dziennika — fakt notowany  
zaledwie kilkakrotnie w dziejach świata cy-  
wilizowanego — świadczy najwymowniej, że ugrun-  
tował on swój byt i rozwój na rzetelnem zaufaniu  
i uznaniu najszerzych kół czytającej publiczności.  
Takie właśnie podstawy istnienia zdobyła sobie „Ga-  
zeta Warszawska”, a to zarówno ze względu na ucz-  
ciwą i niezłomną służbę przewodniej idei, jak i bo-  
gactwo informacji, jakimi dzieli się od półtora  
wieku ze swymi czytelnikami.

Stale wzrastająca poczytność postawiła „Gazetę  
Warszawską” w pierwszym rzędzie największych co  
do nakładu codziennych pism w Polsce.

Wielka popularność i sfera rozpowszechnienia — oto  
również powody, dla których „Gazeta Warszawska”  
jest uważana za

pierwszorzędny organ dla reklamy.

M. A R C T A

# ALBUM MALARSTWA POLSKIEGO

50 OBRAZÓW KOLOROWYCH NAJWYBITNIEJSZYCH DZIEŁ MALARZY POLSKICH

Wytworne albumy z tekstem objaśniającym w języku polskim i francuskim. In folio, w ozdobej oprawie kolorowej zł. 70. w pięknej oprawie w płótno angielskie zł. 86.

PO 7 ZŁOTYCH MIESIĘCZNIE

Chcąc ułatwić nabycie naszych pięknych albumów artystycznych: Album malarstwa polskiego, Louvre II, Luxemburg, Kobieta w sztuce, dajemy je naszym klientom NA ROCZNY KREDYT RATOWY, przy odpowiednich gwarancjach, mianowicie: Broszura w kolorowej okładce: wpłata zł. 7.— i 9 rat miesięcznych po 7.— zł. Oprawa w płótno: wpłata zł. 9.— i 11 rat miesięcznych po 7.— zł.

Koszta przesyłki i inkasa zł. 5 od każdego albumu, płatne przy pierwszej wpłacie.

Prosimy zażądać od nas broszury opisowej albumów z wzorami ilustracyj i szczegółowymi warunkami.

KSIEGARNIA M. ARCTA

Warszawa, Nowy Świat 35, PKO Nr. 196, Telefon 48-54.

**TREŚĆ:** Ludzie bez prawdy *J. Rembienińskiego*. — Kryzys w kościele angielskim *W. J. Chwalewika*. — Zakład narodowy im. Ossolińskich *W. Bruchnalskiego*. — Zgaszenie krajobrazu *K. L. Konińskiego*. — Don Kiszot (urywki) *St. Miłszewskiego*. — Liberum Veto *Al. Świętochowskiego*. — Głosy: (Braterskie stosunki; Bolszewizm we Francji *A. W.*; Portrecik polityczny). — Przegląd polityczny *J. R.* — Nauka i literatura: („Wojna i pokój“ *St. Kozickiego*; „Przedziwny żywot lorda... Endymiona“ *Wł. Jabłonowskiego*). — Teatr *Z. W.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI

Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15.

PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM